P O L A K
W BRAZYLJI
Pismo tygodniowe -- dla wszystkich --

13 Sierpnia 1909 r. REDAKTOR I WYDAWCA *KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.* *Rok V Nr. 33*

POLAK W BRAZYLJI
kosztuje:

Rocznie.	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrji	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs.
Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub jego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI"
Caixa postal Nr. 122
CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATĘ „POLAKA W BRAZYLJI" przyjmują na warunkach redakcyjnych p. p.
Bolesław Kłossowski — Ponta Grossa.
Antoni Jakubowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.

Redakcja mieści się
przy placu TIRADENTES Nr. 31
TELEFON N. 167
Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

DWA PŁATNE URZĘDY NIE MOGĄ BYĆ PIASTOWANE PRZEZ JEDNĄ OSOBISTOŚĆ.

Prawo pod powyższym tytułem zostało zaprojektowane przez obecnego prezydenta Brazylji dr. Nilo Peçanha.

Prawo to ma na celu nie tylko usunięcia nienormalności takiego zjawiska jak piastowanie dwóch urzędów, przyczym urzędnik nie jest w stanie zadowalniająco wykonywać swoje obowiązki, również usunięcia niesprawiedliwości, która tkwi w niesłusznym wyższym uposarzeniu jednego obywatela ze szkodą innych, którzy również maja prawo reflektować na jedną z piastowanych przez szczęśliwego posiadacza protekcji, posad. Prawo to ma jeszcze głębsze i donioślejsze dla nas znaczenie. Godzi ono bezpośrednio w tak pospolite w Brazylji oligarchje, czyli rządy niewielkich grup, nieraz poszczególnych rodzin, które dorwawszy się do władzy, starają się wszelkimi siłami władzę tę skupić w swoim, lub najbliższych przyjaciół ręku. Posada rządowa, to jak wiadomo, nie tylko sposobność do pobierania często wygórowanej pensji, to jest w pierwszym rzędzie narzędzie polityki. Członek partji rządzącej na posadzie rządowej ma setki sposobności wpływać na powodzenie wyborów, już to agitując, już to otaczając względami jednych, szykanując innych obywateli.

Mamy codziennie sposobność przyglądania się tej nikczemnej robocie. Brak prawa, którego projekt został w tych dniach przedłożony kongresowi, pozwalał mniejszym i większym kacykom, mniejszym i większym stanowym i federalnym oligarchjom utrzymywać się przy władzy przez lata całe, wbrew woli i interesom ludności.

Umiejętnie i odpowiednim ludziom rozdane posady rządowe pozwalały jednej nieraz rodzinie dzierżyć przez lata całe nieograniczoną władzę tak w municypjach jak i w stanach całych.

Jaką ciekawą illustrację stosunków, jakie brak powyższego prawa u nas wytwarzają, przytaczamy fakt, który zdarzył się w ubiegłym miesiącu w Assunguy de Cima.

Prefekt municypjum zażądał od skarbnika miejscowej kamery rachunków, zapomniał nieszczęsny, że skarbnik był jednocześnie komisarzem policji, dygnitarz ten uznał za stosowne obrazić się i bez ceremonji zapowiedział prefektowi, że go każe aresztować, jeżeli ten żądanie ponowi, ponieważ prefekt ośmielił się wysłać zażalenie na komisarza do Kurytyby, ten ostatni zawiesił go w czynnościach, zabroniwszy pokazywać się w kamerze.

Wszelkie sprawy municypalne zostają od paru tygodni załatwiane przez skarbnika, kamaryści siedzą cicho steroryzowani przez buńczucznego komisarza, skargi zaś w Kurytybie nic nie pomagają ponieważ skarbnik i komisarz w jednej osobie należy do koligacji a prefekt do opozycji.

Prefekt, który może mieć dobre intencje i może być wpływowym człowiekiem przy takim postępowaniu straci zachowanie u ludności, która steroryzowana przez komisarza policji przy wyborach odda głosy na kandydata rządowego, władza więc niepodzielnie przejdzie do koligacji, którą sami wyborcy będą uważali najniesłuszniej w świecie za rzeczywistą przedstawicielkę większości, która naprawdę wcale nie rozporządza.

Fakt, który podaliśmy, jak wiemy nie jest odosobniony, w każdym miasteczku w każdym municypjum, w każdej kolonji powtarzają się wypadki podobne. Tam sędzia jest zarazem poczmistrzem i komisarzem, nauczyciel, poborcą i rejentem zarazem, komisarz jest dyrektorem kolonji, delegowanym izby skarbowej i t. d.

Stosunki zabagniły się u nas do tego stopnia, że życie jednostek bardziej niezależnych stało się w dalszych od stolicy centrach prawie niemożliwym, cierpią na tym w pierwszym rzędzie handel i przemysł, co znów w dalszym ciągu odbija się na ogólnych finansach państwa.

My Polacy w Brazylji możemy tylko z radością powitać fakt wniesienia na obrady powyższego prawa jako zapowiedź sanacji obecnych stosunków politycznych, których nienormalność nam przeważnie dawała się we znaki.

Słowacki i Puzyna.

Gdy niejednokrotnie pisaliśmy w „Polaku" wykazując wady naszego duchowieństwa, ich że się tak wyrażę antispołeczną działalność, wyodrębniającą ich osobiste cele od potrzeb całego narodu, pomimo że wszystkie zarzuty opieraliśmy z zasady na faktach nie ulegającym wątpliwości, zawsze znajdywali się tacy, którzy nietylko nie wierzyli, lecz brali w obronę duchowieństwo, zarzucając nam nawet niesumienność i wszystkie zarzuty przeciw księżom nazywali paszkwilami i t. d. Obecnie więc wdzięczni jesteśmy niezmiernie biskupowi krakowskiemu, kardynałowi Puzynie, który postępkiem swoim nawet najbardziej naiwnym, najwięcej ufającym w „świętość" księży, otworzył oczy i pokazał we właściwym świetle całą działalność księży i ich wspólność norodową z nami. — Gdy cały naród polski zgodnie i jednogłośnie jak jeden mąż, uznał za stosowne, aby zwłoki wieszcza naszego, tego „króla pieśni polskiej", tego wiecznego tułacza złożyć na ziemi ojczystej, do której całe życie tęsknił, gdy postanowiono zwłoki jego umieścić w miejscu najświętszym i najdroższym dla każdego polaka, w miejscu należącym do całego narodu, jakim jest—Wawel, sprzeciwił się temu biskup krakowski Puzyna, bo chociaż Słowacki umarł opatrzony sakramentami, jednakże za życia swego nie był zbyt katolicki, dlatego że swą duszą wieszczą przeczuł że Rzym zgotuje zgubę narodowi polskiemu.

Pomimo więc że Słowacki sławy narodowi polskiemu przysporzył, że budził ducha w nim, że literaturę polską postawił na równi z literaturą najbardziej cywilizowanych narodów; pomimo

Zbrodnia brygadjera.
(Z pamiętników Sherlocka Holmesa.)

Dokończenie.

W końcu nadeszła wreszcie ostatnia chwila mego tryumfu. W półobrocie ugodziłem w lisa takiem samem zręcznem cięciem, jakim zabiłem adjutanta cesarza rosyjskiego. Lis rozpadł się na dwie części — łeb w jedną stronę, a ogon w drugą. Odwróciłem się i okręciłem pokrwawioną szablą w powietrzu. W tej chwili byłem wzniosły — wspaniały.

Ach! jakże byłbym pragnął zaczekać i otrzymać powinszowanie tych wspaniałomyślnych wrogów. Zbliżało ich się teraz z pięćdziesięciu, a nie było między nimi ani jednego, któryby nie wymachiwał ręką i nie krzyczał. Ci Anglicy nie są doprawdy wcale taką flegmatyczną rasą. Dzielny czyn na wojnie, czy w sporcie, rozgrzeje zawsze ich serca.

Co do starego dojeżdżacza, ten znajdował się najbliżej mnie i mogłem widzieć własnemi oczyma jaki był oszołomiony tem, co widział. Wyglądał jak człowiek sparaliżowany — usta miał otwarte, rękę, z rozwartemi palcami, podniesioną w górę. Przez chwilę miałem ochotę zawrócić i uścisnąć go. Ale głos obowiązku dźwięczał mi już w uszach, a ci Anglicy, pomimo całego braterstwa, jakie istnieje między sportsmenami, wzięliby mnie niechybnie do niewoli.

Teraz już nie było dla mnie żadnej nadziei spełnienia swojej misji, zrobiłem wszystko co mogłem zrobić. Widziałem w niezbyt wielkiem oddaleniu zarysy obozu Masseny, albowiem, szczęśliwy przypadek chciał, że polowanie skierowało się w tę stronę. Odwróciłem się od zabitego lisa, salutowałem szablą i pocwałowałem dalej.

Ale ci dzielni myśliwi nie chcieli mnie puścić tak łatwo. Ja teraz stałem się lisem i na równinie rozpoczął się pościg. Dopiero w chwili, gdy ruszyłem ku obozowi mogli się domyśleć, że jestem Francuzem i teraz cała gromada goniła za mną. Byliśmy na odległości strzału od naszych pikiet, zanim się zatrzymali — stanęli gromadkami i nie odjeżdżali tylko słali za mną okrzyki, wymachując rękoma.

Nie, nie chcę przypuszczać, że to pod wpływem wrogiego uczucia. Wolę raczej wyobrazić sobie, że zapał i podziw przepełniał im piersi i że jedynem ich pragnieniem narazie było uścisnąć cudzoziemca, który postąpił tak po rycersku i tak dzielnie.

K O N I E C.

HYMN O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom:
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutnó, mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Juljusz Słowacki.

Kto umie być zadowolony ze swego małego losu, ten zaiste, wygrał wielki los na loterji życia.

* * *

Lepiej być młodym starcem, niż starem dzieckiem.

* * *

Są ludzie, którzy myślą, iż cnota polega jedynie na sądzeniu bliźnich bez pobłażliwości.

* * *

Być zawsze innego zdania niż otoczenie, jest to samo, co chcieć podróżować po Saharze na łyżwach.

więc że imię Słowackiego pozostanie nieśmiertelne w dziejach ludzkości, sługa Kościoła Rzymskiego zabrania nam go uczcić należycie; jak za życia prześladowania moskiewskie wygnały go na obczyznę i skazały na tułaczkę, tak po śmierci Kościół katolicki zabrania zwłokom jego spocząć na gruncie ukochanej przez niego ojczyzny.

Z całej rozszarpanej przez wrogów ojczyzny, jako szczątka jej świetnej przeszłości, pozostało nam wzgórze Wawel z zamkiem królewskim. Szczątką tą mogliśmy rozporządzać podług swej woli, gdyż nawet jeden z naszych ciemięzców, cesarz austryjacki uznał za stosowne Wawel oddać na własność polakom; zdawałoby się więc że narodowi polskiemu pozostanie ten drogi dla niego zakątek, gdzie będzie mógł umieścić wszystko dla siebie najświętsze, gdzie brutalna dłoń despotyczna nie sprofanuje jego uczuć narodowych. Tymczasem na tym ołtarzu pamiątek, położył dłoń swą ciężką Kościół Rzymski i tu nawet narodowi polskiemu nakłada ją jarzmo, sądząc że gdy już od wieku znosi niewolę, i ten ucisk przyjmie z pokorą bez protestu.

Przyszłość pokaże, czy lud polski ugnie karku przed purpurą kardynalską Puzyny i pozwoli, aby zwłoki jego ukochanego poety leżały gdzieś daleko, wśród obcych i na obcej ziemi.

My zaś, powtarzam jeszcze raz, powinniśmy być wdzięczni kardynałowi Puzynie, że dopomógł nam, otworzyć oczy ludowi polskiemu na działalność duchowieństwa, że dał odczuć całemu narodowi, że oprócz trzech ciemięzców jakimi są rządy: moskiewski, austryacki i niemiecki istnieje jeszcze jeden, jeszcze więcej niebezpieczny, bo podstępny i chytry—Kościòł Rzymsko-Katolicki, który potrafi na poparcie swych wymagaó użyć szabel policyjnych, i przelać krew obrońców słuszności, jak to uczynił Puzyna dnia 21 Czerwca w Krakowie.

Jot.

Z całej Polski.

Z KRÓLESTWA. Podczas nieustannych bezroboci i anarchji w Łodzi, a póżniej podczas 18-tygodniowego lokautu przemysł łódzki nie mógł zaspokoić potrzeb stałych swych odbiorców. Wtedy ci musieli zwròcić się do innych dostawców. Skorzystały z tego okręgi bawełniane Cesarstwa: moskiewski, włodzimierski i północny, rozszerzyli gwałtownie fabryki, a następnie wprowadzili pracę na dwie l b nawet na trzy zmiany. Ilość robotników w krótkim przeciągu czasu wzrosła o 65 tys. przeszło. Rozszerzona działalność fabryk Cesarstwa powetowała chwilową niemoc wytwórczą Królestwa i nasyciła potrzeby rynku. Od 2 lat już fabryki Cesarstwa pracują na taką skalę.

Obecnie fabryki okręgu łódzkiego zaczynają pracować dość normalnie. Napowrót powstaje konkurencja i walka staje się coraz zacieklejsza. Obecnie na rynku bawełnianym istnieje nadprodukcja i fabrykanci nie wiedzą, co robić z nadmiarem wyprodukowanego towaru. Fabryki jednak w Cesarstwie nie chcą wyrzucać na bruk dziesiątków tysięcy robotników, zaprzęgniętych przedtym do pracy.

Przyszłość Łodzi jednak jest niepewna. Grozi jej, jeśli jeszcze nie zaraz, to w najbliższej przyszłości nowa burza ekonomiczna. Niepomni doświadczeń przeszłości fabrykanci wyzyskują niemiłosiernie swą przewagę nad robotnikami. Zbyt naciągnięta struna może pęknąć, a wówczas rozszaleje taka burza, iż cały przemysł łódzki w gruzy upadnie.

DUCHOWIEŃSTWO PRAWOSŁAWNE w Chełmszczyźnie zwróciło się do synodu z prośbą, ażeby wyjednał wycofanie z obiegu i zakaz sprzedaży w obrębie gubernji lubelskiej siedleckiej książki rosyjskiej pod tytułem „W obronie Wiary". Książka rzeczona, wydana w języku rosyjskim, traktuje o dogmatach religijnych wyznań katolickiego i prawosławnego, oddając wyższość wyznaniu katolickiemu, jako rozsadnikowi kultury zachodnio-europejskiej.

AEROPLANY WRIGHTA W WARSZAWIE. W rzędzie miast, w których dokonane mają być próby wzlotu aeroplanu Wrighta, Warszawa jest z kolei na trzecim miejscu. Po ukończeniu wzlotów w Holandji i Danji, Towarzystwo awiacyjne „L'Ariel", na którego czele stoi Juljusz Clemenceau, syn prezesa ministrów francuskich i profesorowie instytutu, urządza wzloty w Warszawie, Petersburgu, Moskwie i Odesie.

Są to doświadczenia o charakterze naukowo-sportowym i wycieczkę swoją czynią żeglarze na zaproszenie klubu aerostatycznego w Petersburgu i morskiego w Odesie. W Warszawie jedno z towarzystw o charakterze naukowym daje opiekę tym próbom

Wycieczki te, w których biorą udział żeglarze napowietrzni, inżynierowie i mechanicy witane wszędzie w Europie, jako gońcy nowej wiedzy z tak olbrzymią przyszłością, trwać będą kilka miesięcy.

WYCIECZKA CZECHÓW. W Czechach organizuje się wycieczka do Polski, mianowicie do Warszawy, Częstochowy i Krakowa; wycieczka, nad którą objęła protektorat praska Rada miejska, będzie reprezentowała nie tylko czeskich przemysłowców, lecz obejmie wszystkie warstwy społeczeństwa czeskiego. Wycieczka nie ma wcale charakteru politycznego i to zaznacza odezwa wydana przez komitet organizacyjny. W wystawie częstochowskiej czesi biorą żywy udział. Wysłało tam swe okazy 130 przemysłowców.

Z GALICJI. Umarł w Busku niespodziewanie były namiestnik Galicji i prezes ministrów austryjackich Kazimierz hr. Badeni. Zmarły za życie swego odznaczył się jako dobry polityk. Za sprawowania swych rządów w Galicji przyczynił się wiele do podniesienia dobrobytu ekonomicznego i oświaty, tudzież odznaczał się wielkim taktem w rozstrzyganiu różnych zawikłań politycznych na tle narodowościowym tak często zakłócającym spokój w monarchji austryjackiej.

Badeni słynął również jako mąż niezwykłej energji i żelaznego charakteru, przeprowadzając swe zamysły nie baczył na nic. Były czasy gdy rodzący się ruch patryjotyczny w Galicji był ścigany i prześladowany przez Badeniego. Żarliwy przeciwnik ruchu ludowego, gnębił go siłą wszelką. Również on był twórcą ugody z Rusinami, udzielając im daleko idące koncesje, dopomagające do rozwoju narodowego, jak gimnazja, stowarzyszenia gospodarcze i t. d.

Dzięki Badeniemu cesarz zezwolił na pochowanie zwłok Mickiewicza na Wawelu, również dzięki jego energji doszła do skutku wystawa krajowa we Lwowie w r. 1894.

Z KSIĘZTWA POZNAŃSKEGO. Dnia 6 go z. m. odbył się w Gnieżnie wielki wiec w celu werbowania członków do nowego „Związku chłopskiego" chłopów i kolonistów niemieckich brało udział w nim około 3.000 ników.

„Związek chłopski" ma na celu wyzwolić się z pod wpływów szlachty niemieckiej i jej kierownictwa, a wspólnie własnymi siłami dbać o swe interesy. Powstanie wspomnianego związku dla polaków może być bardzo niekorzystnym, ponieważ osadnicy niemieccy na wiecu nie kryli się ze swymi antypolskimi przekonaniami, a samodzielna praca germanizacyjna stanowić może większe niebezpieczeństwo dla polskości niż akcja biurokratyczna. Z drugiej strony zaś powstały rozłam wśród niemców w dzielnicach polskich, może doprowadzić do namiętnej walki wśród żywiołów germanizacyjnych, a walka ta osłabiając bądź co bądź wrogów naszych, może ułatwić obronę polskości, a nawet doprowadzić do przełomu politycznego. Dla powyższych powodów ruch wśród kolonistów niemieckich zasługuje ze strony społeczeństwa polskiego na baczną uwagę.

— —

Obecnie wszystkie prawie pisma polskie wychodzące w Poznańskim potępiają politykę parlamentarną Koła Polskiego, które zsolidaryzowało się z centrum i konserwatystami i dopomogło do przeprowadzenia rządowi projektowanej przez rząd niemiecki ustawy finansowej. Pisze „Kurjer Poznański": „Dziś przedstawiciel Koła należy do oficjalnych wnioskodawców, do inicjatorów reformy finansów Rzeszy, należy do nowej koalicji urzędowej, opierającej się na podstawie kompromisu rządu ze stronnictwami większości. Jednym słowem Koło weszło na tory stronnictwa rządowego".

„Gazeta Toruńska" zwraca uwagę, że stosunki parlamentarne wskutek zasadniczego wystąpienia polaków przeciwko lewicy, mogą pogorszyć się na niekorzyść polaków, bo stronnictwa postępowe niemieckie oburzone zachowaniem się polaków, połączą się w sprawach polityki antypolskiej z hakatystami i wytworzą w parlamecie większość stanowczo wrogą polakom.

Posądzać o złą wolę posłów nie możemy, trzeba tylko zaznaczyć ich krótkowzroczność polityczną, brak wyrobienia i orjentacji, które ich skierowały na politykę ugodową, również niezaradność większości z nich, wobec kilku jednostek ambitnych narzucających im swą wolę wbrew życzeniom i uczuciom szerszych warstw ludu. Wszystko to może sprowadzić bardzo niepożądane skutki dla całej polskości w zaborze pruskim.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Obecnie bawi w Petersburgu poselstwo chińskie, przyjmowane nader uroczyście, z czego trzeba wywnioskować, że dyplomacja rosyjska pragnie zbliżenia się z Chinami, z którymi stosunki od czasu wojny japońskiej znacznie się rozluźniły. Prasa rosyjska zaznacza, że nigdy przedstawicielom Chin nie okazywano takich względów i nie oddawano takich honorów jak obecnie. Jedno z pism petersburgskich umieściło rozmowę swego współpracownika z sekretarzem poselstwa chińskiego, który zaznaczył, że rząd chiński zamierza w przyszłych reformach armji, administracji i życia publicznego wzorować się na Rosji. Poselstwo ma także obowiązek, wobec wprowadzenia w Chinach urządzeń parlamentarnych, zbadania takich urządzeń w Rosji, gdyż parlamentaryzm rosyjski ma także być wzorem dla chińskiego.

Wycieczka do Anglji prezesa Dumy rosyjskiej Chomiakowa i kilku innych posłów, którzy byli bardzo grzecznie przyjmowani przez króla i najwyższych dygnitarzy, pozwala wróżyć politykom rosyjskim, zawarcia i utrwalenia ścisłej przyjaźni z Anglją. Chomiakow w jednym z pism oświadczył, że obecnie nastąpi między Rosją i Anglją porozumienie. Obie strony wyjaśnią sobie bezsensowne legendy o zamiarach Rosji zawojowania Indji, a gwałtowne parcie się różnymi sposobami Niemców do Azji, pokaże Anglikom, że sojusz ich z Rosją i Francją jest naturalny i potrzebny.

Obecnie bawi także grupa posłów rosyjskich w Paryżu, którzy chociaż przyjmowani byli przez francuzów nie tak uroczyście jak w Anglji, jednakże to nie zmniejsza znaczenia politycznego tej wizyty. Wszystkie rozmowy posłów rosyjskich z dziennikarzami paryskimi, dotyczą przeważnie stosunku Rosji do Niemiec przyczem posłowie nie ukrywają swej niechęć do Niemców

Wysłanie wojska rosyjskiego do Persji, chociaż cała prawie prasa rosyjska w zasadzie przyjęła przychylnie, jednakże obecnie niektóre pisma zwracają uwagę rządu ażeby strzegł się „intrygi niemieckiej", która polega na tem, że obecnie kiedy Rosja jest zmuszona do wystąpienia energicznego, Niemcy, które wplątały ją umyślnie w całą sprawę, zechcą zapewne wystąpić w roli pojednawczej i, przeszkadzając cichaczem Rosji, odzyskać jej kosztem — utracone wpływy w Persji.

W Persji jak się zdaje walka nacjonalistów z wojskami szacha doszła do kulminacyjnego punktu: Ostatnie wiadomości donoszą o wtargnięciu nacjonalistów trzema bramami do Teheranu. Na ulicach wre walka uporczywa. Spodziewają się, że szach schroni się w jednym z poselstw zagranicznych. Gmach parlamentu czyli medżylisu został zajęty przez rewolucjonistów. Znaczna część kozaków szacha przeszła na ich stronę. Ludność ogarnięta entuzjazmem dodaje odwagi nacjonalistom. Poselstwo rosyjskie otrzymało polecenie w każdym razie dać szachowi przytułek. Wypadki w Persji powodują również coraz większe naprężenie w stosunkach Europy. Naprzykład obecnie pomimo protestów ze strony Rosji i Anglji, w sprawie zajmowania Urmję przez wojska tureckie, rząd turecki polecił komendantowi czwartego korpusu by wzmocnił posterunki w Urmji i bronił linji demarkacyjnej tureckiej przed wkraczaniem wojsk obcych.

Turcja na gwałt się zbroi przeciw Grecji, która również czyni przygotowania wojenne. Przyszło już też pod Saloniki do starć między bandami powstańców a turecką żandarmerją. Mocarstwa opiekujące się Kretą, Rosja, Anglja, Francja i Włochy zawiadomiły władze kreteńskie, że wycofując swe wojska z wyspy dają dowód zaufania, że władze miejscowe będą w stanie utrzymać na wyspie pokój i porządek. Również zawiadomiono rząd turecki, że w zamian wojsk wycofanych, mocarstwa utrzymywać będą w zatoce Sudzkiej dla ochrony flagi tureckiej i flag mocarstw opiekuńczych, oraz dla zapewnienia bezpieczeństwa muzułmanom kreteńskim, po jednym okręcie stacyjnym od każdego mocarstwa, których obecność na wodach kreteńskich będzie dowodem praw zwierzchniczych sułtana i opieki mocarstw nad wyspą. Jednakże rządy wymienionych mocarstw przyznają, że obecny stan rzeczy na wyspie nie może być uważanym za ostateczne rozstrzygnięcie sprawy i zastrzegają sobie prawo wybrania odpowiedniej chwili dla przeprowadzenia rokowań z Turcją w sprawie dalszych losów wyspy.

W Niemczech po ustąpieniu księcia Bilowa, jak pisaliśmy już o tem uprzednio, został mianowany kanclerzem rzeszy niemieckiej baron Berthmann-Hollweg. Nowy kanclerz w obec polaków stoi na stanowisku Bilowa i hakatystów. Paragraf językowy w ustawie o zebraniach jest głównie jego dziełem. Również wiadomem jest, że baron Bethman jest ulubieńcem cesarza. Jak nowy kanclerz poradzi sobie z trudnościami finansowymi Niemiec, które przyczyniły się do dymisji jego poprzednika i postawiły rząd z powodu deficytu w budżecie, w krytycznym położeniu, przewidzieć trudno.

W Maroko przyszło do krwawych starć Hiszpanów z Maurami, z powodu tego, że kilku robotników hiszpańskich zajętych pracą koło mostu w Melilli, zostało napadniętych przez Maurów. Cztrech robotników zabito, a jednego zraniono. Gubernator z oddziałem wojska udał się na miejsce wypadku. Przyszło do krwawej utarczki pomiędzy wojskiem i Maurami. Po stronie hiszpańskiej zginął oficer i kilku żołnierzy odniosło rany. Zawezwana przez gubernatora artylerja hiszpańska zrównała z ziemią namioty szczepu Marisa, skojarzonego z Maurami. Kabyli stawiają wojskom hiszpańskim silny opór, dlatego wysłano ze strony hiszpańskiej posiłki. Zanosi się na krwawą walkę pomiędzy Hiszpanami i Maurami.

Kronika zagraniczna.

ANGLJA.

Zagadkowy okręt powietrzny. Przed kilku tygodniami sprawiła w całej Anglji ogromne wrażenie wiadomość, że w porze nocnej widywano na rozmaitych punktach wybrzeży wielki statek powietrzny przypominający budową statek Zeppelinowski. Wytworzyły się pogłoski, że jest to okręt niemiecki, odbywający ćwiczenia i zbierający informacje strategiczne, zwiększyła się powszechnie obawa przed najazdem niemieckim na Anglję, a nawet poruszono sprawę tę kilkakrotnie w parlamencie.

Obecnie »Daily News« donosi, że statek taki rzeczywiście odbywa wielkie wycieczki powietrzne, ale nie jest pochodzenia niemieckiego, lecz angielskiego, a przystań jego znajduje się w odległości zaledwie paru mil od Londynu. Statek ten jest własnością inżyniera d-ra. Boyda i według jego zapewnień przewyższa znacznie niemiecki. Boyl rozpoczął swoje próby w marcu a w ostatniej wycieczce, dnia 13 maja, dotarł do Belfastu i powrócił tej samej nocy.

Statek jego porusza się z szybkością 32 mil angielskich na godzinę, a więc prędzej niż Zeppelinowski, składa się z trzech małych balonów połączonych w całość i rozporządza motorami o sile 300 koni. Swoją budową statek Boyda różni się bardzo od Zeppelinowskiego, nie ma gondoli, a może unieść 3 ludzi i 600 galonów benzyny, wystarczających do przebycia 1400 mil angielskich.

Wynalazca ofiarował swój okręt angielskiemu ministerstwu wojny, które niebawem rozpocznie z nim próby. Wpierw jednak statek, mający obecnie 120 stóp długości, będzie przedłużony do 200 stóp i zaopatrzony w cztery nowe śruby. Także motory będą znacznie wzmocnione i umożliwią poruszanie się z szybkością 45 mil angielskich na godzinę.

Jeżeli wiadomości »Daily News« są prawdziwe, to Anglja posiada dotąd najlepszy statek powietrzny i Niemcy utraciły już swoje przodownictwo w tej dziedzinie. Dziwne wydaje się tylko, że tak wielki statek przez kilka miesięcy potrafił ukrywać się zupełnie w porze dziennej i nawet w najbliższym sąsiedztwie jego przystani, nic o nim nie wiedziano. Prawda, że Anglicy, w przeciwieństwie do chełpliwych Niemców, umieją milczeć w razie potrzeby.

JAPONJA.

Tokio Znany wynalazca japoński, Yamoto, od kilku lat poświęca się studjom nad sprawami żeglarstwa napowietrznego. Wynalazł on balon ze sterem, który był używany przez Japończyków w czasie oblężenia Portu Artura. Obecnie Yamoto pragnie nadać temu balonowi cechy przyrządu do walki zaczepnej. Na razie oświadcza on, iż wynalazł przyrząd ochronny przeciwko balonom ze sterem; przyrząd ten będzie odgrywał w powietrzu taką rolę, jaką odgrywają na morzu torpedowce.

Korespondencje.

DZIWNE PODATKI.

Thomas Coelho 6-8-09.

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę umieścić w swoim poczytnym piśmie słów kilka o podatkach tu pobieranych.

Ja niżej podpisany płacę podatku od wendy dwieście kilkanaście milów rocznie, do tego za sieczkarnię 50$000, a nie wolno mi sprzedawać tak prostego artykułu jak naprzykład słoma. Przed dwoma miesiącami sieczka była tańsza od słomy i ja sprzedałem kilka fur słomy do Kurytyby; teraz przysyła mi p. prefekt wezwanie, żeby zapłacić: za pozwolenie kupowania słomy 30 milrejsów, za to że kupowałem słomę bez specjalnego pozwolenia, kary milrejsów 100$000 i w dodatku za każde kilo słomy sprzedanej rejsów 20.

Kara jaka na mnie spada z powodu że kupuję i sprzedaję słomę, jest tak wielka, że ani pan prefekt, ani żaden z jego podwładnych nie mogą napewno obliczyć, wiele mam napewno do zapłacenia. Cały mój grzech polega na tym, że pozwoliłem sobie wysłać słomę koleją; gdybym wywiózł wozem, nie miałbym nic do zapłacenia. Czyż to nie dziwne prawo?

Wzywam kamarystów rodaków, aby na najbliższym zebraniu z tym prawem dziwnym a potwornym zrobili koniec, a ogół aby sobie dobrze zapisał w pamięci twórców takich praw.

Z poważaniem

Filip Jakubowicz

NOWE ROSY Dnia 29 Lipca b. r.

Na wymienionej kolonji już od paru lat istnieje szkoła, utrzymywana przez miejscowych kolonistów.

Jest to jedyna szkoła polska na ogromnej polskiej kolonji Thomas Coelho, bo szkoła, w której zaledwie parę razy tygodniowo uczy czytać dzieci misjonarz, żadnym prawem nie może zasługiwać na miano takowej.

Ostatnimi czasy w szkole na Nowych Rosach był nauczycielem p. Zygmunt Kuliński,

który, pomimo marnych warunków, w jakich się znajduje szkoła i przeszkód, które zwalczać musiał; wytrzymał rok i cztery miesiące.

Obecnie p. Z. Kuliński, który, nie widząc przed sobą lepszego jutra na posadzie nauczyciela i nie mogąc dłużej prowadzić suchotniczego żywota wraz z żoną i dzieckiem, postanowił opuścić tak ważną oświatową placówkę i przerzucić się do pracy bardziej wdzięcznej.

Jak wiele przez tak krótki czas i przy marnych warunkach zdziałał ustępujący nauczyciel, wykazał egzamin dzieci, który się odbył dnia 29 Lipca. Dzieci egzaminował nauczyciel „Tow Szkoły Ludowej w Brazylji" z Kampiny, który został zaproszony przez nauczyciela i kolonistów. Dzieci było na egzaminie 36. Były one podzielone na trzy grupy. Pan Kuliński we wstępnej grupie uczył dzieci czytać nietylko na książce, lecz i za pomocą dyktanda łatwiejszych słów czyli rozkładania wyrazów na zgłoski, a tych ostatnich na głoski, to też dzieci dobrze i łatwo się uczyły, bo słowa nietylko przeczytane, a raczej złożone ze zgłosek na elementarzu, lecz i rozłożone na zgłoski czyli napisane na zeszycie lub tabliczce zawsze daleko lepiej utkwią w maleńkiej główce ucznia wstępnej grupy. — W drugiej grupie dzieci czytały, bacząc pilnie na znaki przestankowe, a po przeczytaniu danej powiastki, całymi zdaniami odpowiadały na zadawane im pytania. Dyktando pisały nieźle. Co do dyktanda, to najlepiej popisała się III-cia i zarazem ostatnia grupa, ponieważ przeważna część dzieci takowej pisała prawie bez błędów. Arytmetyki dzieci uczyły się tylko z II-ej i III-ej grupy. Co do geografji, to dzieci posiadały pierwsze najelementarniejsze jej początki. Pomocy naukowych, jak: globusa, map, atlasu i t. p. nauczyciel nie posiadał.

Z historji Polski dzieci przeszły I-szą część, a mianowicie: Polska w legendach.

Pod koniec egzaminu wiele z dzieci mówiło wiersze i niektóre bardzo dobrze. W końcu zaśpiewały pieśń o naszej Wiśle. Dzieciom zdolniejszym i tym, które w ciągu roku były grzeczne i posłuszne, nauczyciel rozdał w upominku śliczne książeczki. Dzieci wogóle rozwinięte i żywe, a niektóre z nich wyróżniają się wyjątkowymi zdolnościami, więc aż żal człowiekowi, iż nie będą się one rozwijały dalej, by w przyszłości w całej pełni i potędze swych sił pracować dla społeczeństwa które ich wydało, a tym samym i dla całej ludzkości.

Po skończonym egzaminie dzieci wyszły, a w szkole zostali się koloniści, pomiędzy którymi, a członkiem zarządu „Tow. Szkoły Ludowej w Brazylji" wywiązała się pogadanka. Członek „Tow. Szk. Lud. w Brazylji" omówił, jaką powinna być szkoła, a przedstawiwszy kolonistom jej ważne zadanie, dowodził, że my polacy w Paranie ideał szkoły osiągniemy wówczas tylko, gdy one wraz z towarzystwami oświatowymi, które się nimi opiekują, zleją się w jedną potężną organizację, to też, żeby nie tylko mówić lecz i działać, zaproponował stowarzyszonym, żeby przystąpili do „Tow. Szkoły Ludowej w Br." Stowarzyszeni koloniści na tę propozycję odpowiedzieli, że gdy się namyślą, to może i przystąpią na tych warunkach, jakie im zaproponował członek zarządu wspomnianego towarzystwa. Ten zaś ostatni, widząc że się wahają dodał: „Możecie się poradzić nawet księży, jak z tą sprawą postąpić i jeżeli prawdą jest, jak twierdzicie, że wasi księża nie mają nic przeciw oświacie, to nie będą przeciwni przyłączeniu się waszemu do „Tow. Szkoły Ludowej w Brazylji, bo na tym oświata może tylko skorzystać".

Ja od siebie dodam to jeszcze: komu tylko prawdziwie leży na sercu oświata ludu polskiego w Paranie, ten wszystkimi siłami powinien dążyć do zlania się wszystkich oświatowych towarzystw w jedną potężną całość, na wzór dawnej „Macierzy Szkolnej" w Królestwie, a wówczas choć w przybliżeniu otrzymamy ideał nowoczesnej szkoły, wówczas dowiedziemy, że jesteśmy zdolni do życia gromadzkiego i pracy, podejmowanej i wykonywanej nie przez jednostki, a przez ogół dla ogółu.

Praca ta jest już zapoczątkowaną przez „Tow. Szkoły Ludowej w Brazylji" i trzeba tylko odrzucić prywatę na bok, a wziąść się wspólnymi siłami do zbożnej pracy.

M. Sekuła.

Kampina dnia 1-go Sierpnia, 1909 r.

Czytałem wiele korespondencji w „Polaku", w jednych z nich piszą o oświacie ludu, w innych o handlu, rolnictwie, sadownictwie i rzemiosłach.

A ja chcę napisać parę słów o gospodarstwie, a właściwie o hodowli świń. Chcąc żeby świnia się dobrze pasła, to trzeba koło niej starannie chodzić, przedewszystkiem powinna ona zawsze mieć w chlewku miękko. Paszy nie trzeba jej dawać w wielkiej ilości, raz lub dwa na dzień, tylko po trochu a częściej: przynajmniej 4 razy dziennie. Paść je najlepiej batatami gotowanymi, rzepą i brukwią, a do tego trzeba obowiązkowo dodawać otręby żytnie. Pomyje, zwłaszcza gdy są tłuste, nie trzeba wylewać na dwór a dolewać do paszy. Pozatem bardzo dobrze gdy wieprzy z karmnika od czasu do czasu wypuszcza się na dwór, żeby one pobiegały po podwórku choćby małą chwilkę, to zaostrza ich apetyt i ożywia. Ja choć jestem młoda, a już wiele razy słyszałam jak niektóre gospodynie mówiły, że pomimo to, iż kupiwszy prosięta trzymały je w chlewku, to jednak i tak nie chciały się dobrze paść, ale żeby się usprawiedliwić ze swojej nieumiejętności chodzenia koło świń, niedbalstwa, lub też czego innego, to tacy ludzie bają niestworzone rzeczy; jedni naprzykład mówią, że im kto czary na dobytek rzucił, inni jeszcze, że kupili od człowieka, który ma złą rękę i t. p.

Ale ja tym wszystkim powiedziałabym, że to nie przez czary lub złą rękę świnie nie chcą się im dobrze chować, lecz przez to, że dostają jedzenia choć dużo na raz, lecz nie więcej jak sześć razy tygodniowo lub stoją pod kolana w błocie, w mokrości. Dalej jeszcze zaznaczę, że świnie chować opłaci się tylko wówczas, gdy je będzie czem paść, nie samą kukurydzą żeby potem mieć szperkę, to wtedy lepiej słoninę kupić, bo czasem kalgier kukurydzy jest w cenie dziesięciu, piętnastu a nawet dwudziestu milrejsów.

Agnieszka Kampa — kolonistka.

KRONIKA.

MINISTERJUM ROLNICTWA. Niedawno mianowany minister rolnictwa dr. Candido Rodrigues poczynił szereg zarządzeń mających na celu utworzenie nowego ministerjum i rozpoczęcie początkowych prac. Zostali naznaczeni inspektorzy, po jednym dla każdego Stanu, którzy będą mieli za zadanie prowadzić statystykę, badać warunki sprzyjające hodowli bydła, tej lub innej gałęzi rolnictwa. Również w tych Stanach gdzie warunki przyrodzone sprzyjają hodowli bydła i koni, będą zakładane stacje zootechniczne, hodowle reproduktorów i t. d. W Stanach zaś o warunkach sprzyjających więcej samemu rolnictwu, będą zakładane instytuty agronomiczne i stacje doświadczalne. Oprócz tego będą zakładane we wszystkich Stanach, stacje meteorologiczne, istnienie których potrzebne jest dla prowadzenia racjonalnego rolnictwa.

RIO DE JANEIRO. W krótkim czasie rozpoczną się badania projektowanej linji kolejowej z S. Francisco przez Rio Negro do Porto União da Victoria.

Pewna grupa pań ze Stanu Minas, podała prośbę do kongresu o zatwierdzenie prawa głosowania wszystkich kobietom. Prośba ta została oddana specjalnej komisji do rozpatrzenia.

Deputowany Parański dr. Correia de Freitas otrzymał z municypjum Kurytybskiego około 400 podpisów wyborców, upoważniających go do reprezentowania powyższego municypjum na mającej się odbyć konwencji politycznej dnia 22 Sierpnia w sprawie kandydatury na prezydenta republiki.

WYKOLENIE POCIĄGU. Na linji kolejowej Sorocabana, która właściwie jest przedłużeniem linji São Paulo-Rio Grande, dn. 10 b. m. o godz. 7 z rana pociąg pasażerski idący z São Paulo do Itarare, na 91 kilometrze, pomiędzy stacjami Piragibu i Passa Tres, wykoleił się na zawrocie. Podczas paniki wśród pasażerów, którzy chcieli wydobyć się z wagonów, kilkanaście osób zraniono. Został zabity palacz, poraniony ciężko maszynista i jeden z konduktorów, którzy na drugi dzień zmarli. Także odnieśli poważne obrażenia, główny konduktor i paru służących kolejowych.

HERWA. Jak wiadomo herwa mate jest najważniejszym produktem naszego przemysłu, dającego stosunkowo olbrzymie zyski. Rząd tutejszy wszelkimi środkami reklamuje herwę wydając nieraz ogromne sumy aby zbyt herwy powiększyć, szczególnie robione są wysiłki w celu zpopularyzowania herwy w Europie. Dotychczas rezultat tych zabiegów był nadzwyczaj skromny, gdyż otwarcie ruchu na herwę w Europie się nie udało a jedynym poważniejszym konsumentem herwy jest jak dotychczas Argentyna.

W każdym razie eksport herwy jest bardzo znaczny, co stwierdzają obliczenia statystyczne, według których eksport lat ubiegłych przedstawiał się następująco. W 1902 roku 41,928,586 kilogr. w 1903 roku — 36,129,555 kilogr. w 1904 roku—44,162,052 kilogr. w 1905 roku — 41,119,930 kilogr. w 1906 roku —57,796,403 kilogr. i w roku 1907 52,652,747 kilogramów.

KOLONJA XAVIER DA SILVA. Stosownie do obietnicy dzielimy się z czytelnikami wiadomościami o zajściu na kolonji Xavier da Silva które otrzymaliśmy od naocznego świadka p. Michała Nowackiego, który przybył do Kurytyby, wysłany przez kolonistów do inspektora kolonizacji ze skargą na wicedyrektora p. Ramosa, również z prośbą do konsula austryjackiego o interwencję. Według słów p. Nowackiego wiadomości podane w ubiegłym tygodniu w dzienniku brazylijskim „Diario" były zupełnie fałszywe i z tego powodu p. Nowacki był w redakcji wymienionego dziennika i poczynił odpowiednie sprostowania.— Jak pisaliśmy już poprzednio, kilkanaście lotów ziemi zostało ;wymierzonych przez karygodne niedbalstwo na prywatnym terenie, którego właściciel już zagospodarowych kolonistów wypędził; gdy ci udali się do p. Ramosa, ten nie tylko że niechciał z nimi rozmawiać lecz wezwał kilkunastu mieszkających w sąsiedztwie brazyljan, i z ich pomocą rozpędził zebranych kolonistów, czynił rewizje w celu odnalezienia broni i paru uwięził. Co się tyczy Grodkowskiego to ten rzeczywiście żądał „valę" czyli kwit, lecz słusznie mu się należący, na to jeden z urzędników administracji uderzył go, chcąc z biura wypędzić, wtedy Grodkowski broniąc się, uderzeniem zwalił z nóg owego urzędnika i poturbowawszy jeszcze paru, schronił się do domu p. Nowackiego. Wtedy p. Ramos wydał rozkaz aresztowania Grodkowskiego, lecz temu oparli się energicznie wszyscy koloniści, którzy się zebrali dowiedziawszy się o powyższym zajściu.

Przybyły na wezwanie Ramosa oddział policji rozpoczął badania i rewizje, przyczym kilku kolonistów uwięziono i t.d.

Obecnie koloniści zaniósłszy zbiorową skargę do tutejszego inspektora kolonizacji dr. Correio i poparci energicznie przez konsula austryjackiego wyjednali to; że p. Ramos z całym personelem administracyjnym został telegraficznie usunięty z zajmowanego dotychczas stanowiska, a na jego miejsce zostanie naznaczony nowy dyrektor kolonji, tymczasowo obowiązki dyrektora pełnić będzie p. Kazimierz Brodziak, obywatel z Prudentopolis. Dr. Correia obiecał wydawać w dalszym ciągu zapomogi na życie i zasilić kolonję niezbędnymi narzędziami rolniczymi i t. d.

Zakończenie w ten sposób powyższej sprawy może służyć przykładem dla stron obu: kolonistom że zawsze solidarnie bronić swych praw należy i domagać się słuszności energicznie, urzędnikom zaś kolonizacji, którzy uważają kolonistę polaka jako materjał wyzysku, niech służy fakt powyższy za nauczkę, że brutalne i niesprawiedliwe, obchodzenie się z imigrantami może sprowadzić skutki dla nich samych niepożądane.

KONSULAT AUSTRYJACKI otrzymał od Wydziału krajowego we Lwowie, dla rozdania szkołom polskim i towarzystwom oświatowym w Paranie, znaczną ilośćksiążek dla szkół elementarnych głównie wydawnictwa Ossolińskich. Szkoły i t-wa oświatowe mogą się zwracać do konsulatu, z prośbą o udzielenie im wymienionych książek.

Odpowiedzi od Redakcji

P. Lourenco Szpitznerowi.—„Żyd wieczny tułacz" niezwłocznie wyszlemy. Cena jego jest 6$500. Podręczników do pisania listów nie posiadamy.

P. Ludwikowi Szeszowi. — P. p. A. Widelskiemu i J. Grochowskiemu „Polaka" regularnie wysyłamy we wspólnej paczce idącej do Ponta Grossy. Od pewnego czasu zaczęły wracać do nas numery zaadresowane do p. A. Widelskiego, nie wiemy więc co o tem sądzić. Prosimy o reklamowanie na poczcie, lub podanie dokładniejszego adresu, jakoteż o zawiadomienie które numery nie doszły, a takowe wyszlemy.

P. Szczepanowi Cielusińskiemu. — Pieniądze w kwocie 10 milrejsów otrzymaliśmy. Żądane książki wysyłamy oprócz „Śpiewnika dla ludu katolickiego", którego nie posiadamy. Należy się nam jeszcze 1 milr. Zamiast kalendarza wysyłamy książkę pod tytułem „Matka" Sewera, powtórnie.

P. *Aleksandrowi Patzerowi.* — „Polaka" wysyłamy regularnie pod pańskim adresem. Prosimy o reklamowanie na poczcie. Ponieważ pan kalendarza nie otrzymał, który widocznie zginął w drodze, prosimy o zawiadomienie nas, co mamy zrobić z przysłanym milrejsem. Także prosimy o zawiadomienie nas, jakich numerów „Polaka" panu brak, a takowe zaraz panu wyszlemy.

P. *Janowi Kidryckiemu.* Żądane książki wysyłamy. Za korespondencje i artykuły serdecznie dziękujemy.

P. *St. Leszczyńskiemu.* Słownik polsko-portugalski jeszcze nie został wydany, a portugalsko-polski chwilowo został wyczerpany. Prosimy o zawiadomienie co mamy zrobić z 4 milr., które pan nadesłał.

Od administracji.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1909 nadesłali p. p.: Józef Pawłowski, Wincenty Morawski, Jan Gustowski, Jan Sul, Michał Muszyński, Stanisław Pijanowski, T-wo Rolnik, Roman Marczyński, Ignacy Zarzycki, Antoni Jakóbowski, Stanisław Kolasiński, Albert First, Marcin Pasturczak, Piotr Dutkiewicz, Włodzimierz Podwórny, T-wo Tad. Kościuszki w Argentynie.

PRENUMERATĘ ZA I PÓŁR. 1909 r. nadesł. p. p. Wojciech Walczak, Piotr Lewicki, W. Kołakowski, Dr. Bohdanowicz, Józef Preiss, Szczepan Szlacha.

PRENUMERATĘ ZA II PÓŁROCZE 1909 r. nadesłali p. p. Józef Jaworski, Adam Stachowski, Aleksander Laskowski, Wawrzyniec Kampa, Ignacy Kossowski.

PRENUMERATĘ ZA II KWARTAŁ 1909 r. nadesłał p. Jan Karman.

PRENUMERATĘ ZA III KWARTAŁ 1909 r nadesłał p. Sylwester Piasecki.

PRENUMERATĘ ZA II PÓŁROCZE 1908 r. nadesłali p. p. Piotr Lewicki, Dr. Bohdanowicz.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1908 nadesłali p. p. Wincenty Morawski, Marcin Pasturczak, Jan Mitczuk, Piotr Dutkiewicz.

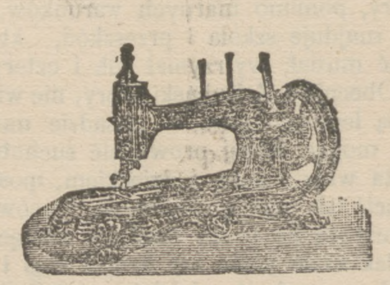
PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1907 nadesłał p. Wincenty Morawski.

Ogłoszenia.

Za dział ten Redakcja nie odpowiada.

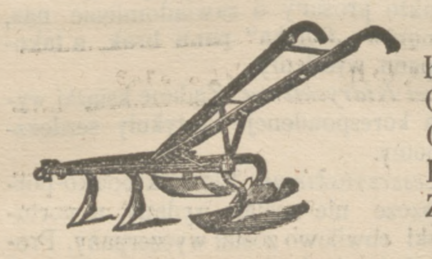
CASA CRYSTAL

Wendler, Schneider i S-ka.



Kurityba, ul. 15 de Novembro 64, *Skrzynka poczt. 100*

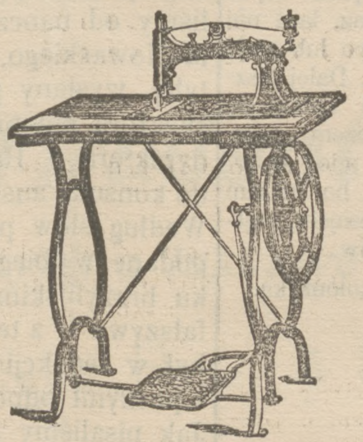
Główne i najtańsze źródło wszelkich towarów żelaznych, szkła, porcelany i naczyń kuchennych.



CHCĄC ROZSZERZYĆ NASZĄ KLIJENTELĘ POLSKĄ, NAZNACZYLIŚMY MOŻLIWIE NIZKIE CENY NA WSZYSTKIE TOWARY I POKŁADAMY NADZIEJĘ, ŻE STARANIA NASZE BĘDĄ NALEŻYCIE OCENIONE.

WSZYSTKIE TOWARY, KTÓRE POSIADAMY, SĄ ŚWIEŻO SPROWADZANE Z EUROPY. NARZĘDZIA I INNE PRZEDMIOTY MAMY TYLKO NAJNOWSZYCH SYSTEMÓW.

Oleje i farby



Stale na składzie: maszyny do szycia, pługi, łopaty, siekiery, narzędzia stolarskie i piły do tartaków.

Broń i amunicja
Szyby do okien
Komplet naczyń emaljowanych
Naczynia fajansowe i żelazne
Blacha i płótno druciane
Drut kolczasty



Lampy — Lakiery — Broń.

Paulo Hauer & S-ka.

Plac Tiradentes *Kurytyba*

Największy skład miejscowy maszyn rolniczych i narzędzi

Polecamy wprowadzone przez nas słynne pługi amerykańskie ,,C O L O N O'' OO, a także pługi żelazne wszelkich innych systemów.

SIECZKARNIE, MŁÓCARNIE DO KUKURUDZY I T. D.

Każdemu z naszych Szanownych Klijentów dajemy gwarancję, że przy nabywaniu naszych artykułów, otrzymuje je na najdogodniejszych warunkach, i zwracamy specjalnie uwagę publiczności, że PŁUGI, KTÓRE NIE NOSZĄ MARKI „COLONO“ OO, są towarem małej wartości.

Koninklijke Hollandsche Lloyd

L L O Y D K R Ó L E W S K I H O L E N D E R S K I

Nowe towarzystwo okrętowe holenderskie subwencjonowane przez rząd holenderski.



Statki, odchodzące do Europy:

Hollandia — 31 Lipca

Wspaniały statek holenderski

Amstelland

9.000 tonn, oświetlony elektrycznością, odejdzie z Santos 28 Lipca.

przez Rio de Janeiro,
Leixoes,
Lizbonę,
Vigo,
Dunkierkę,
do Amsterdamu

Na statku tym pasażerowie 3-ej klasy otrzymują wino dwa razy dziennie; kuchnia portugalska.

Statki tego towarzystwa posiadają specjalne wygody dla pasażerów 3-ej klasy, porządne stoły, oddzielne sale jadalne, kąpiel, wodę chłodzaną i t. d.; kajuty o 2-ch i 4-ch łóżkach.

CENY PRZEJAZDU 3-A KLASSA:

Do Lizbony i Leixoes	— Rs. 80$000	Wkluczając opłatę na rzecz rządu.
Do Vigo	— — Rs. 80$000	
Do Dunkierki	— — Rs. 100$000	
Do Amsterdamu	— Rs. 100$000	

Oddzielne kajuty na 4 osoby, do Amsterdamu — 130$000 od osoby (wkluczając opłatę na rzecz rządu).

Agenci główni dla Brazylji:
FRATELLI MARTINELLI i Co. Rio de Janeiro—Santos—São Paulo
Sub-Agenci dla Parany:
Velo &. Matteucci—Kurytyba, ul. Marechal Deodoro 32

Handel hurtowy win

Interesa komisowe i składowe i kupno na rachunek własny.

Quadros & Irmão

Ul. 15 de Novembro No. 84 Curityba.

Wyłączni importerzy słynnych win Porto marki „MOSQUETEIROS“ i „PORTO HEROICO“ i wina „Villa Fria“.

Stale na składzie: cukier, ryż, wódka, kawa, wina miejscowe, proch, farby, konserwy, oliwa, trunki wszelkie, ryby suszone i wszelkie artykuły „seccos e molhados“.

SPRZEDAŻ HURTOWA

CENY NAJNIŻSZE.

S Ł Y N N E O Ł Ó W K I

Fabryki St. Majewskiego

N a j l e p s z e !

N a j t a ń s z e !

Do nabyciaw Księgarni Polskiej.

Sprzeda hurtowa i detaliczna

Nie nabywajcie nigdzie ołówków, nie obejrzawszy OŁÓWKÓW MAJEWSKIEGO, gdyż są one od wszystkich tańsze i lepsze.

★ P O P I E R A J C I E
P R Z E M Y S Ł
★ P O L S K I !

P O P I E R A J C I E P O L S K I H A N D E L ! ! !

Sklep Polski
POD
Białym Orłem

w mieście **Rio Grande do Sul** przy ul. Marechal Deodoro obok domu polskiego Towarzystwa „Białego Orła“, naprzeciw centralnego dworca kolei żelaznej.

Niżej podpisany ma zaszczyt polecić Szanownym Rodakom swój świeżo założony sklep, w którym dostać można wszystkiego, co wchodzi w zakres t. zw. Sekkos e Molhados, a zatym: wszelkie towary kolonialne, mąka, słonina, szarka, wszelkiego rodzaju konserwy, jak: sardynki, atum, peixerei, ozory wołowe, trunki krajowe i zagraniczne, wreszcie wszystko, czego tylko w gospodarstwie domowym potrzebować można.

Właściciel nie zamierza ciągnąć wielkich zysków ze swego sklepu, ale pragnie jedynie, aby mu ten handel dał spokojne utrzymanie, którego z powodu zrujnowanego zdrowia w inny sposób zdobyć już nie może! Dlatego to Sklep Polski będzie sprzedawał wszystko bardzo tanio i po cenach niższych, aniżeli kiedykolwiek inne wendy, gwarantując jednocześnie dobry gatunek towarów.

Obok Sklepu Polskiego urządzono parę skromnych, ale czystych i wygodnych pokoików, gdzie każdy przejeżdżający może znaleźć gościnę z całkowitym utrzymaniem za skromnym wynagrodzeniem.

R O M A N S I E C Z K A

S W Ó J D O S W E G O ! ! !

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

WACŁAW GĄSIOROWSKI

ROK 1809

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

2

— Więc słuchaj!... Przyszedł dziś papier z Sandomierza od generała Egermana o ułożenie rozpisu na pobór rekruta... Nakaz pilny, przebąkują coś jakby o nowej wojnie!... Ciężko!...

— Prawda!—westchnęła pani Zabielska wspomniawszy na Marynię.

— Nie po sercu mi taki rozpis!... Roku niema, jak na tej burmistrzówce osiadłem, ledwie co mieszczan poznałem bliżej, a tu ciągaj ich, wódź się, a w duszy się nie dziw, że im do białych mundurów nie pilno! Wybrali nam oni przecież nie tak dawno tysiące ludu! Teraz znów! A przytem ta wojna nowa!... Juści nie trzeba się długo namyślać z kim! Bez Napoleona się nie obejdzie... a bez naszych z Księstwa także! I co, swój swego będzie mordował Źle!...

— Źle—źle!—przytwierdziła Janka!

— Ot i frasunek! Jest czego, — tu obowiązek niewoli, a tu żal zdejmuje. Weź Piętków — poczciwi ludziska mają dwóch synów, podobno chcieli do Warszawy się przebierać. Rodzice uprosili, a teraz przyjdzie na nich!...

— Niech się salwują!

— Ba! Właśnie — ale im niebezpieczeństwo ani w głowie! Kto ich uprzedzi?!

— Ja!! — zakunkludowała energicznie pani Zabielska.

— Januś! Zastanów się! Myśleć o tem niepodobna — gardłowa sprawa!.. Pieczęć tajemnicy!... Prócz mnie, pułkownika i komisarza Mólskiego nikt o tem nie wie i wiedzieć nie może, dopóki werbunkowych oddziałów nie rozpuszczą!... A wówczas będzie zapóźno!...

— Trzeba więc teraz, koniecznie!—upierała się Janka. — Szkoda Piętków!

— Szkoda, lecz nie ma sposobu! Ale kochanie moje, ani sobie tego do głowy nie dopuszczaj! Z pułkownikiem może by się udało, bo to dobry człek w gruncie rzeczy, lecz na Mólskiego nie ma sposobu. Człowiek mi nie szczery, czytam w jego każdem wejrzeniu! Podobna ja mu popsułem szyki? On o toż samo burmistrzostwo zabiegał w rządzie cyrkularnym lubelskim i gdyby nie wstawiennictwo pana Józefa Podhorodeńskiego, to i pan Domański nic by nie wskórał! Mólski żadnej mi krzywdy nie wyrządził, lecz nie ufam mu!... Niechby podejrzenie padło — wzięliby do fortecy i mnie i na starych rodzicach Piętków by się mścili! Nie, nie!... Ot, nieszczęście naszło!... Chociaż, kto wie, może się jeszcze co zmieni. A może lepiej, by wojna była.

Janka zadumała się smutnie.

Pan Tadeusz ciągnął, jakby do siebie.

— Podobno takich niepewnych czasów dawno nie bywało! Kto ich wie zresztą. Papier lakoniczny bardzo! Ale, ale... Januś moja przepomniałem! Toż pułkownik do nas się dzisiaj zaprosił na wieczerzę. Należy go przyjąć poczciwie. Niemiec nam życzliwy...

Janka porwała się jak łania spłoszona.

— Nic mi nie powiedziałeś.

— Daruj! Ot masz, zagadaliśmy się. Lecz przecież czem chata bogata! Czekaj, trzeba go uraczyć— postawimy mu butelkę, wiesz tego, co nam ojciec wydzielił ze swego jeszcze wesela!

Janka brzęknęła żwawo kluczami, lecz nagle stropiła się.

— Tego wina?!... Hm! A... a... pomnisz, jako ojciec przykazywał?!

— Że na chrzcinach każdych po jednej!...

— Właśnie! — zauważyła cicho pani Tadeuszowa.

— Januś — wołał wesoło pan Zabielski. — A przecież mamy tego coś czterdzieści!...

— A... a... jak potem zabraknie!?—szepnęła Janka, oblewając się żywym rumieńcem.

Pan Tadeusz skoczył do żonusi i jął ściskać, a po rękach całować.

— Kochanie ty moje! Czem sobie u Boga zasłużyłem na taką radość!... Boisz się czterdziestki!... Cha — Cha!... Dajże nam już tę jedną! Toć trzydzieści dziewięć starczy!...

— Wola waćpana — a jak potem...

W tejże chwili wbiegł do alkierza pacholik z wieścią, że pułkownik von Wassenfeld już przyszedł. Janka wysunęła się do izby czeladnej — pan Tadeusz zaś wyszedł naprzeciw gościa i pomógł mu z płaszcza i pasów się uwolnić.

— „Mein Gott! Mein Gott!“ — mruczał pułkownik, strzepując szronem zaszłe wąsiska.

— Panie Zabielski, jaki to mróz! Brr!... Jeszcze takiego nie pamiętam!... Tylko młodą żonę mieć i w domu siedzieć! Co?!... He, he!...

— Proszę, proszę dalej! — zapraszał pan Tadeusz.—Tu z sieni wieje!...

— Już idę!... Bardzo tu miło u państwa!...

Zabielski powiódł gościa do obszernej, widnej izby na prawo, — usadowił na krześle i zawołał na pacholika. Ten zawczasu przygotowane drewna w kominku ułożył i skrzesał ognia. Jasny płomień buchnął z wesołym trzaskiem, oświetlając izbę, a miłem ciepłem przejmując.

— O! Oh! Panie Zabielski, panie burmistrzu!...— zaczął po chwili Wassenfeld. — Co to za roskosz tak siedzieć w ciszy i spokoju!... Pan tego nawet ocenić nie potrafisz... ale ja!... Ile razy brakło nam w polu takiego kącika... ile razy dałoby się pół życia za takie schronisko!

— Służba wojskowa ciężka! — zauważył pan Tadeusz.

— Bardzo! Bardzo ciężka.—Wzdychał pułkownik — Jeszcze jak człowiek młody to się rwie do niej... ale potem pusto!...

Pułkownik zamyślił się.

— Prawda, prawda! — potwierdził młody gospodarz domu—tyle lat ciągłych przemarszów...

I... i dodaj ciągłego niepowodzenia!.. Przegrana bitwa demoralizuje nie tylko żołnierza, ale i oficerów... zniechęca... budzi brak zaufania... A myśmy mieli przegranych bitew, aż za wiele!... Myślisz, że nasze wojsko było kiedy gorsze, mniej sprawne, gorzej zaopatrzone? Nigdy! Francuzi nie mieli ani takiej artylerji, ani takich grenadyerów, ani takich strzelców, jak nasi tyrolscy... Ich przewaga—to jeden może Bonaparte...

— No i marszałkowie!...

— Hm!... Zapewne! pod takim wodzem... Zresztą, powodzenie... daje pewność siebie!... Krótko mówiąc, mieliśmy dawniej wszystko... prócz dowódców! Ale teraz... trudniej byłoby o Marengo, o Austerlitz, nawet o Hohenlinden!

Wassenfeld targnął z fantazyą temblakiem, aż pałasz zadzwonił, i dodał z przekonaniem:

— To jest, może się Marengo powtórzyć, ale nie dla nas!... Nie dla nas!...

— Pułkowniku! — zagadnął żywo Zabielski.— Tak mówisz dziwnie! przecież teraz, gdy o zerwaniu traktatu mowy nie ma...

— A któż o zerwaniu mówi!... Traktat dotąd trwa, dopóki obydwie strony mają w tem korzyść... ale z chwilą, gdy jedna tylko ma widoki... zbiera armię i nachodzi granice nieprzyjacielskie!...

— Więc te słuchy o wojnie?..

— Nigdy nie są bezpodstawne!...

— Czasy pokoju...

— Nie dla nas!—rzucił przez zęby Wassenfeld. Zważ tylko, panie burmistrzu, z tobą mogę wszak mówić zupełnie szczerze,—czyż jego cesarska mość może zezwolić na to panoszenie się francuskiego generała, czyż może ścierpieć, aby on dyktował nam prawa handlowe, aby samowolnie wydzierał mocarzom korony i rozdawał je, jak stopnie oficerskie swoim ulubieńcom czy krewniakom?!.. Czyż jego cesarska mość może znieść ten ucisk ludów?!...

— Ucisk?—powtórzył przeciągle pan Tadeusz i urwał nagle.

— Ucisk, ucisk panie Zabielski!! On kroi dzisiaj już na króla królów... Tak być dłużej nie może! Patrz, Prusy obezwładnione, z odebranymi prowincjami...

Lecz zdaje mi się odebrano im tylko to, co nie było ich własnością!?

— Żartujesz, burmistrzu,—w tym razie nastąpiło porozumienie!... No—no!... Choćby nawet... to Napoleonowi nic do tego...

— Więc ten pobór nakazany?... zagadnął cicho pan Tadeusz.

— Ma—doniosłe znaczenie! Bardzo doniosłe! Ja wiem... wy tego nie lubicie panowie! Obowiązek! Każda piędź ziemi musi złożyć podatek krwi... Prawo odwieczne!...

— Nie przeczę! Ale przyznaj mi, pułkowniku, że przecież ta biedna Galicja nie miała jeszcze czasu, aby się tak zawziąć w miłości dla spraw wiedeńskich...

— Wiele, wiele by o tym można mówić! Są tu dwie racje!... mnie się nie pytaj! Jam nie polityk! Jakby mi sądzić przyszło, to... djabli wiedzą!... moja rzecz słuchać!... poboru i ja nie cierpię — zwłaszcza, tu u was!... Rąk i tak mało do pracy!... Ale kto temu winien?... Masz, nikt inny, tylko Bonaparte!... On ludzi w pole wyprowadza, on durzy — za nim lecą emigranci!... Szaleństwo!...

— Pułkowniku! Bierzesz im to za złe!? Gorszy cię?!

— Mnie?...—przerwał żywo Wassenfeld.— Tu o mnie mowy nie ma!... Tylko ludzi szkoda! Dokąd ich to zaprowadzi!?... Mało im jeszcze biedy!... Niespełna rozumu...

Pan Tadeusz chciał ująć się za tak ostry sąd — lecz w izbie ukazała się Janka zakłopotana, zapłoniona i jęła prosić na wieczerzę.

Pułkownik porwał się z miejsca i z posuwistym ukłonem podał młodej gospodyni ramię, aby ją do stołu poprowadzić.

Przy wieczerzy rozmowa potoczyła się gwarno a ochoczo. Wassenfeld ścigał gładkie liczko Janki, sadził się na komplimenty, roztaczał całą swą obozową dworność, a w uprzejmościach się rozpływał. Gdy nadto, po sutym bigosie, na stole ukazała się dobrze omszała butelka, w starego pułkownika jak gdyby nowe wstąpiło życie. Miotlaste wąsy szarpał z fantazją, ostrogami pobrzękiwał, dzwonił pałaszem, a ku panu Tadeuszowi się chylił i za ręce go ściskał.

— Dobrze mi tu u was! Bardzo dobrze... Jakbym odżył dzisiaj!... Opatrzność was tu sprowadziła! Jeden dom przynajmniej serdeczny! My z pani mężem przygnęliśmy do siebie odrazu! Ja wiem, Mólski komisarz wam niechętny, lecz do czarta, von Wassenfeld jeszcze coś tu znaczy, jeszcze on coś wskóra, jakby było potrzeba. Na zdrowie! Za pomyślność!...

Pułkownik pociągnął raz i drugi z kielicha i dodał ciszej:

— Gdy patrzę na was, młode lata przychodzą mi na myśl. Dobre lata. Eh! Może to na moje utrapienie... przywiązuje się człowiek do ludzi... a potem ciężko się rozstawać.

— Czyżby pan pułkownik myślał od nas rejterować?—zapytała ciekawie Janka.

— Ani mi to na myśli. Ale cóż, służba.. Rozkaz przyjdzie i w jednej chwili... Bóg wie, gdzie może mnie zapędzić!...

— W czasie wojennym! — poprawił pan Tadeusz.

Wassenfeld nachmurzył się, a po długiej pauzie obejrzał się po izbie, jakby chcąc sprawdzić, czy nie ma kogo ze służby w pobliżu i szepnął:

— Co tu ukrywać... wojna jest...

Pan Tadeusz pobladł z lekka. Janka nachyliła główkę ku pułkownikowi.

— Z kim?!—rzucił gorączkowo Zabielski.

— Z kim?... Chyba nie mam potrzeby mówić!... Przyszedł już rozkaz... Lada dzień wymaszerujemy, tylko pobór rekruta mamy skończyć! Nadejdzie tu po nas zbierająca się brygada generała Bikinga... pójdziemy pewno prosto... do Warszawy!...

— Do Warszawy!—zawołał ze wzruszeniem Zabielski.

Wassenfeld spojrzał niepewnie na młodego burmistrza i odrzekł obojętnie.

— Do Warszawy... tam, skądby nam na tyłach armji grozić mogło niebezpieczeństwo.

— Alež!—ozwał się gorąco pan Tadeusz.—Jeżeli wojna z Napoljonem... to... cóż zawiniło Księstwo Warszawskie?

— Zawiniło?! Wojna! Więc wojna ze wszystkimi, co powiadają się być stronnikami Bonapartego! My zresztą wkroczymy do Księstwa, jako sprzymierzeńcy!... Arcyksiążę Ferdynand d'Este jest bardzo ludzkim!... Jeżeli ludność zachowa się spokojnie, może być pewną łaskawości jego.

Janka milczała zadumana.

Pan Tadeusz gryzł wargi niecierpliwie.

— Więc wojna wypowiedziana?! -zagadnął niepewnym głosem.

Pułkownik pociągnął potężny haust wina i rzekł, ociągając się:

— Wypowiedziana! Jak będziemy w Warszawie... wówczas... dowiedzą się o niej... na to jest dosyć czasu!.. Z Bonapartem żartów niema! Tu nie idzie o groźby lecz o wojnę!... Im później o niej się dowiedzą, tym lepiej!...

— To... podejście!—zauważył Zabielski.

Zbawienne dla tego Księztewka!... Tak, może myślałoby o oporze! Naraziłoby się może na niepotrzebny rozlew krwi... a tak, złoży broń bez wystrzału!... Bonaparte będzie pewno walczył... ale tym razem nie dotrzyma placu!... Nasza armja...

Wassenfeld urwał nagle i powiódł wzrokiem po zadumanych twarzach Janki i Tadeusza.

— Was to nie cieszy?! — zapytał raptownie.

Zabielski uśmiechnął się kurczowo.

— Cieszyć? Pułkowniku — wojna nawet zwycięzka zbyt wiele smutków sieje, aby radować się jej można...

— Masz burmistrzu rację!... Chociaż, darujcie, gdybym was nie znał... gotówbym był podejrzewać o sprzyjanie Bonapartemu!

— Nie pułkowniku, my sprzyjamy tylko sprawiedliwości!...

— Wiem, wiem! I nie wątpię! Macie dowód, że wygadałem się przed wami z tajemnicą!... Lecz jestem zupełnie spokojnym! Wam zawierzyłbym bodaj własną głowę. Mało w naszym rządzie cyrkularnym jest tak sumiennych urzędników!

Gdy młodzi małżonkowie znów znaleźli się sami w alkierzu, Janka osunęła się bezwładnie na krzesło i kryła twarzyczkę w dłoniach. Pan Tadeusz ukląkł przy niej i jął ręce odrywać.

— Januś moja! Co tobie!... Rozchmurz się.

— Jedziesz?! — szepnęła Janka drżącym głosem.

Zabielski porwał się nagle i jął wielkimi krokami mierzyć izbę.

— Czy jadę? Kochanie ty moje!... Sam nie wiem!... Chciałem z tobą razem... Lecz bez ciebie!... Nie — niepodobna! Skąd mi taka myśl poszła nagle w głowie! — Nie, ja nic nie pomogę, nic nie zmienię... nieszczęścia nie odwrócę!... Trudno! Już zostanę tym austryackim burmistrzem!...

Więc przeczucie mnie nie omyliło?... Myślałeś?!...

— Do Warszawy cichaczem umknąć... aby przedewszystkiem uprzedzić o grożącem niebezpieczeństwie, a samemu wydostać się z tego piekła!... Januś, daruj mi! Widzisz, rodzic twój nie pozwalał nawet myśleć o przeniesieniu się do Księstwa. Teraz wolne mamy ręce... jeżeli choć nie żyć tam, to przynajmniej... W głowie mi się mroczy! Nie wiele podobno spodziewać się możemy od przyszłości!... Iluż jest w tem co ja, położeniu!...

Przeznaczeniem mojem było widocznie, abym był bezsilnym widzem nowego najazdu Austryaków!... A przecież gdyby tam teraz wiedziano o zbierającej się burzy... Kto wie!...

W oczach Janki zabłysły gorączkowe ognie.

— Więc pisanie wygotuj i wyślij kogo natychmiast!

Niepodobna! Tyle zaufanego nie mam, a gdyby przejęli list, snadnie dojśćby mogli autora! Wówczas zgubiłbym i ciebie i siebie!... Cha! Cóż! Nie mówmy o tem więcej!...

— Więc jedź bezemnie! — odezwała się z mocą Janka.

Pan Tadeusz spojrzał na szkarłatami okrytą twarz żony, na energicznie zsunięte brewki, na zacięte jej usteczka i zdumiał się.

— Jakto, Januś... bez ciebie!...

— Ja zostanę, poczekam, wrócisz...

— Wrócę... zapewne!

— Jedź, jedź, nie zwlekaj! — zachęcała drżącym głosem Janka — Jeżeli ta wiadomość może tak zaważyć, nie wolno się ociągać! Byleś prędko powrócił!...

— Zdradzę zaufanie pułkownika!...

— Albo ziemię, która nas wydała!...

— Prawda! A jeżeli!?... Nie! Wrócę z pewnością! Bóg cię natchnął myślą poczciwą!

— Czasu... wiele nie potrzebujesz — byleś dotarł do Warszawy... może do granicy wystarczy!?... A potem wracaj!...

— A gdyby tu zaszło coś?...

— Bądź spokojnym!... Ja sobie poradzę. Jest stary Łukasz! Zresztą nic nie lękam się o siebie!...

Pan Tadeusz spoglądał z uwielbieniem na Jankę. Miał ją za tak słabą, tak płochliwą, aż oto znachodził w niej tyle hartu, tyle odwagi...

Zabielski chciał coś jeszcze mówić, lecz Janka nie dała mu przyjść do słowa i natychmiast jęła przygotowywać dla męża zawiniątko, troszcząc się o każdy drobiazg i układając plan całej drogi. Uradzono, że pan Tadeusz własnym wózkiem dojedzie do Iłży, a tam dopiero wynajmie konie do Radomia a z Radomia do Warszawy.

Janka pobiegła sama wydać rozkazy parobkowi — pan Tadeusz zaś wysunął się do kancelarji magistrackiej, w rynku położonej i tam jął samemu sobie wygotowywać glejt na przejazd granicy, mianując samego siebie Wojciechem Starczyńskim, obywatelem obwodu ostrowskiego.

Kiedy glejt był już upstroszony pieczęciami, pan Tadeusz nakreślił jeszcze kilka słów do Mólskiego o tem, że sprawy familijne niewolą go do wyjazdu na dni kilka pod Iłżę i że obowiązki swoje powierza jego — Mólskiego pieczy — i powrócił do domu.

Pan Tadeusz wahał się jeszcze, ociągał z wyjazdem. Bał się następstw swego kroku, bał się o Jankę, bał o przyszłość.

Tłómaczył żonie obowiązki, prawił niby o intencjach, które go do kroku tego skłaniają — a w głębi może był przygotowany, aby silniejszemu argumentowi Janki ustąpić i wyjazdu zaniechać. Lecz o dziwo, Janka nie mówiła słowa innego, mogącego zachwiać postanowieniem. Przytwierdzała nawet prognostykom o szczęśliwym niechybnie powrocie.

Aż panu Tadeuszowi zrobiło się przykro.

Po tej tkliwej, przywiązanej Jance, nie spodziewał się był takiej oziębłości. Jeszcze był pewien, że może przy pożegnaniu dostrzeże silniejsze wrażenie, może usłyszy słowo „zostań“. Ale w Jance snać zaszła nagła a nieoczekiwana przemiana.

Gny Tadeusz ostatni pocałunek składał na jej czole, zmrużyła powieki i szepnęła:

— Jedź!... Dotrzyj!... Powinieneś!... Niech cię Bóg prowadzi!...

Pan Tadeusz wzruszony, a bardziej może podrażniony — wskoczył prędko do wózka. Konie ruszyły szybko i znikły w mgłach szarzejącego poranku.

Janka przez czas jakiś ścigała rozpalonym wzrokiem oddalający się wózek, a potem wróciła ociężale do alkierzyka i tam padła zemdlona.

II.

Ze ściśniętem sercem jechał pan Tadeusz do Iłży. Ziąb lutowego poranku przejął go wskroś i jakby zmroził w nim te zapały, które wyrwały go z domowego a tak niedawno rozetlonego ogniska. Przedsięwzięcie zrazu łatwe do wykonania, teraz spiętrzyło się w oczach jego w rozliczne trudności a przeszkody. Lada chwila mógł na pierwszej rogatce wzbudzić podejrzenie i dostać się w ręce żandarmerji polowej. Gdyby jeszcze miał pewność, że wiadomość, z jaką jedzie, nie będzie spóźnioną, że istotnie czynem swoim odda przysługę...

Zniechęcenie nurtowało w panu Tadeuszu. Wyrwał się niepotrzebnie zgoła. Co tu jego mizerna figura pomódz lub znaczyć mogła. Kancelistą był sobie cichym przez tyle lat — no i działo mu się nie najgorzej. Prawda, dokuczliwą była ta kancelarja. A co jeszcze w urzędzie cyrkularnym lubelskim nieraz brała go ochota z Austryakami rozbrat wziąć i uciec bodaj za morza... Ba — kiedy znów i do wojaczki nie miał serca. Kto wie zresztą, żeby się była okazja znalazła!... Był czas nawet, że kiedy mu imć pan Głuski córki bronił a ślubu odkładał—w panu Tadeuszu zbudziła się jakaś desperacka myśl, za Napoleonem wędrować!... Pan Podhorodeński powstrzymał — i w samą porę! Tamto bodaj rozsądniejsze było, niż dzisiaj...

Pan Tadeusz wzdychał a sapał gniewnie — sobie samemu robiąc wyrzuty. To znów chciał na woźnicę zakrzyknąć aby do dom nawracał... ale wówczas jawiły mu się smutnie patrzące oczy Janki, a w uszach dźwięczały mu ostatnie jej słowa: Jedź... powinieneś!...

Już dobrze dniało, gdy wózek pana Tadeusza stanął na rynku w Iłży. Zabielski odprawił pachołka do zajazdu, a sam jął przepytywać się leniwie o konie do Radomia. Usłużny żydek wynalazł mu to czego żądał, prędzej, niż się pan Tadeusz spodziewał. Sznur cały bryk ładowanych stał już na trakcie gotowy do wyruszenia. Gromada kupców radomskich zbierała się z gorączkowem pośpiechem, byle do domu przed szabasem zajechać.

Młody burmistrz ani się spostrzegł, gdy wyrwano mu z rąk węzełki, ulokowano w wasągach, a za nimi i jego samego.

P. Zabielski fukał, srożył się, lecz uległ, choć jeszcze sobie samemu nie wierzył, aby istotnie do Warszawy jechał. Jeżeli nie za Radomiem, to gdzie pod granicą utknie, zatrzymany przez straż, wysumituje się, no i potem „nolens volens“ zawróci do Ostrowia. Gdyby był już nawet na taką przeszkodę natrafił—wcaleby się nią nie strapił—może radby ją powitał... Trzeba jej było na zabicie w sobie, nieznanej mu zgoła alteracji, która nurtował w nim zaczęła. Oto zdało mu się, że jakiś dźwięk nieznany zrywa się w jego piersi i woła nań, że wierzby przydrożne, podmuchem wiatru kołysane, chwieją złodowaciałymi kiśćmi, a jęczą na mrozie, że wyglądająca z pod białych puchów ziemia pogląda ku niemu smutna, zczerniała, a z pod załamanych strzech, pochylonych chat, opustoszałych sadyb spływa doń żal ostry, gryzący.

Pan Tadeusz otrząsnął się zabobonnie i by myśli odpędzić, spojrzał ku skulonej postaci dziada, siedzącego w kącie bryki i zagadnął.

— A wy dokąd?...

— Do Radomia, miłościwy panie!...

— Po co wam?!... nie lepiej doma siedzieć przy piecu... a nie na stare lata na mrozie się włóczyć!...

— Oj prawda!... Nie z woli jadę!... Bieda gna, pędzi człowieka!...

— Hm! Nie macie nikogo?...

— Nie mam i mam!... Zwyczajnie na świecie! Młodzi się rozbiegną!... Cóż staremu trzeba, za torbę, za kij—kiedy inaczej nie można!...

— Pewnie! pewnie!—mruknął niedbale pan Tadeusz i sięgnąwszy do woreczka, wetknął dziadowi kilka srebrników.

— Bóg zapłać miłościwemu panu! I za mnie i za to nieboże...

Zabielski podniósł oczy w stronę, gdzie dziad wskazał i teraz dopiero spostrzegł tęgiego wyrostka, któremu ledwie para bystrych świecących oczu z pod nasuniętej na czoło czapy wyglądała.

— Wasz chłopak?

— Tak, jakby i mój!

— Czasby mu do roboty!

— Oj—czas, czas wielki! — przytwierdził dziad z przekonaniem.—Jeno właśnie trzeba mu obejścia!.. Ciuła się powoli—lecz gdzie jeszcze!...

— Do rzemiosła go chcecie?

— A no juści!—uciął dziad i umilkł, mierząc Tadeusza matowym spojrzeniem swych wyblakłych oczu.

— Hm! Dobrze! Trzeba!—przytwierdził obojętnie Zabielski i wrócił do gnębiących go myśli.

W Radomiu o konie było panu Tadeuszowi trudniej. Żydkowie ani słyszeć nie chcieli o drodze w dzień sobotni, okoliczni wieśniacy po dniu targowym już się rozjechali. Zajazdy świeciły pustkami

Pan Tadeusz dosyć obojętnie zdecydował się na przeczekanie, znów poddając się intencjom zaniechania dalszej podróży. W ustronnej karczmie, tuż przy trakcie warszawskim, upatrzył był sobie nocleg i tam zamierzał z tobołkami, przemyśliwając nad tym, czyby nie lepiej było rozpytać się o znanego mu z dawnych lat imć pana Lubienieckiego, woźnego trybunalskiego. Właśnie chciał dla samej bodaj ciekawości zagadnąć przechodzących mieszczan, gdy wtem usłyszał dobrze mu znajomy głos.

— Witam waćpana.

— Tadeusz obejrzał się i skłonił niepewne wpół przegiętej figurze.

— Witam!... Lecz wybacz waszmość... nie wiem, kogo!

— Che—che!—zaśmiał się nieznajomy, podsuwając się nie nieznacznie.—Mości Zabielski! Nie poznajesz-że mnie!? Takżem się zmienił do kaduka?! Schudło się trochę—ba, bo nie było mnie komu na burmistrzówkę promować !!

Tadeusz postąpił krok naprzód i teraz dopiero poznał był żółtą, zawiędłą przedwcześnie twarz Dyzmy Rudzkiego, dawnego kancelisty.

— A... imś Rudzki!—ozwał się ze zdumieniem Zabielski, nieprzyjemnie zdziwiony niespodziewanym spotkaniem.

— Widzisz waćpan! Góra z górą!... Weselisko, słyszałem!... che—che!...

— Tak... właśnie!...

— Ba! I cóż tu waćpan w tych stronach?!

— Pilne sprawy wypędziły mnie! Mus!

— Wierzę, wierzę!... Z lada dowodu młodej żony by się nie odbiegło! Rozumiem! Che — che... Rudzki umie zmarkować!... No—no! Teraz mi się waćpan nie wykręcisz!... Do licha, przecież przepić do siebie pozwolisz!?... Tyś wyrósł na personata! Phi... A ja skromny człek, ot ledwie się trzymam! Jeden w górze, drugi w dole... Che—che.

Rudzki śmiał się sucho, ironicznie, mrugał mdłymi świdrującymi oczkami i zapraszał Zabielskiego na poczęstunek. Panu Tadeuszowi nie sporo było. Rudzkiego znał dawno, lecz jakąś niewytłómaczoną niechęć do niego żywił. Rudzki był nawet podobno pilnym i zdolnym kancelistą, miał wielkie zachowanie u austryaków, przeszedł wielu kolegów, a pomimo to zginął był nagle z bruku lubelskiego. Powiadano wówczas, że jakiś ważny niezmiernie zajął urząd, że wielka karjera stanęła przed nim otworem. Nikt wprawdzie nie umiał nic pewniejszego się dowiedzieć. Rudzki przepadł, zniknął bez słowa pożegnania. A że wogóle był nielubianym, więc nie troszczono się o kolegę, ani nie starano się zajmować domysłami.

Pan Tadeusz odpowiadał oziębłe na za zaproszenia Rudzkiego, lecz ten nastawał uporczywie.

Nic nie pomoże!... Gratka się trafiła.

Zdrożony jestem!... do zajazdu pójdę!...

— Doskonale! Idę z waćpanem! Ja przecież także popasem tylko. A gdzie waćpan myślisz?...

— Ja do karczmy przy trakcie warszawskim.

— U Dzięcioła? Che che — che! Więc nie ma targów, bo i ja tam nocuję.

Tadeusz powlókł się niechętnie z Rudzkim.

W drodze ten ostatni jął wypytywać Zabielskiego, zagadując niby niedbale.

— Więc waszmości sprawa pilna dokuczyła tak?!

— Aha... po niewoli musiałem. Psi czas!

— Z Ostrowia do Radomia! Szmat drogi!... Może wam wygodzić w czym? Znam tu niejednego.

— Dziękuję!... Ja w okolicę!...

— Ja także.

Pan Tadeusz zmierzył niepewnym okiem Rudzkiego. Ten ostatni ciągnął dalej:

— A wy w którą stronę?

— Na lewo i potym przed się!—rzucił niecier pliwie Zabielski.

Rudzki zaśmiał się sucho.

C. d. n.

Pogadanki Naukowe.

JAK ROZMAITE NARODY WALCZĄ Z PIJAŃSTWEM?

Społeczeństwo nie może i nie powinno obojętnie się zachowywać wobec alkoholu, skoro nauka dowiodła, że jest on wrogiem ludzi.

Zdawałoby się, że dosyć zalecać umiarkowanie w piciu i zalecać całą ohydę pijaństwa. Okazało się jednak, że to do niczego nie prowadzi. Trudno oznaczyć granicę między umiarkowaniem, a nadmiernym użytkowaniem trunków, bo jest ona dla każdego inną.

Oddawna rozmaite narody walczą z pijaństwem i zalecają zupełną wstrzemięźliwość od picia.

W Ameryce niektóre stany zaprowadziły zakaz wyrobów i sprzedaży oraz używania trunków. Gdzieindzej ludność głosuje, czy dopuścić napoje alkoholowe, czy nie.

W Anglji 70 tysięcy osób — kobiet i mężczyzn podjęło zadanie ostrzegania młodzieży przed niebezpieczeństwem pijaństwa. Wchodzą tedy do szkół, wypowiadają wykłady i organizują stowarzyszenia, których członkowie zobowiązują się nic nie pić i przeciw trunkom występować. Stowarzyszenia te zwane „związkami nadziei“ liczą dziś 3 i pół miljona członków. Aby zaś młodzi uczestnicy poznali istotne powaby życia, rozdają im książki, organizują zabawy, koncerty, wycieczki.

Z Szwajcarji wyszła działalność „Stowarzyszenia niebieskiego krzyża“. Członkowie jego w imię zbawienia duszy i moralności żądają powstrzymania się od picia trunków. Zwracają się oni głównie do pijaków, ich rodzin i przyjaciół i z wyleczonych pijaków mają potym najgorliwszych członków.

W Szwajcarji również powstała myśl, że pijaków nie należy traktować jak przestępców, lecz jak chorych, którzy tak samo jak obłąkani, powinni być oddawani do zakładów i leczeni. Powstają tedy w Europie specjalne domy zdrowia, albo też oddziały przy szpitalach dla obłąkanych, w których leczą pijaków. Najczęściej płacą za nich gminy, które wolą ponieść koszta leczenia, niż pomnażać liczbę włóczęgów, kryminalistów, a choćby ubogich.

Chodzi jeszcze o to, aby oddzielać nieuleczalnych pijaków od tych, którzy mogą być wyleczeni i nie powinni mieć zgubnego przykładu przed oczami. Przeciwnicy alkoholu żądają prawa, które pozwoliłoby każdego pijaka przymusowo oddawać do zakładu na czas od 6 miesięcy do 2 lat, bo trudno mówić o prędszym wyleczeniu.

Ważnym jest również, aby pijak, opuszczający dom zdrowia, nie wpadł w dawne towarzystwo, lecz żeby znalazł w miejscu swego zamieszkania towarzystwo wstrzemięźliwości, oraz gospodę bez alkoholowych trunków. „Niebieski krzyż“ stara się o jedno i o drugie.

W Norwegji wprowadzono w ostatnich latach prawa, utrudniające sprzedaż alkoholu. Wskutek tego z karczem na wsi pozostała zaledwie nieznaczna ilość i można czasem jechać 3 i 4 dni, nie znajdując sposobności do wypicia kieliszka wódki. W miastach sprzedaż trunków dozwolona jest jedynie stowarzyszeniom, które prowadzą restauracje ludowe i to za specjalnym pozwoleniem, nad którym głosuje cała męska i kobieca ludność, starsza ponad 25 lat. W ten sposób w kilkunastu miastach nie wolno zupełnie sprzedawać wódki.

U nas, gdzie w zwalczaniu użycia i nadużycia trunków nic się jeszcze nie zrobiło, każdy powinien czuć się w obowiązku przyłożenia choć cegiełki do ogólnej pracy.

WESELE U ARABÓW.

U Arabów i innych narodów, wyznających religję mahometańską, kobiety żyją oddzielnie od mężczyzn. Bogatsi przeznaczają dla kobiet osobny budynek, albo oddzielną część domu, t. zw. harem. Religja mahometańska pozwala mężczyźnie mieć kilka żon, które razem wiodą bezczynne życie w haremie. Jeżeli się stamtąd wydalają, to pod strażą i w zasłonach na twarzy, bo obcy mężczyzna nie ma prawa oglądać oblicza kobiety. Ubogi arab oddziela jedną część izby lub chaty zasłonami lub kilimkami i stawia u wejścia parę pantofelków, na znak, że za tą zasłoną znajdują się kobiety, więc gościowi wstęp tam wzbroniony.

Arabowie mają kobiety w poniewierce. Dawny obyczaj nie pozwala mężczyźnie nawet jadać w towarzystwie kobiet, a najuboższy Arab wstydziłby się przechadzać po ulicy z żoną. Nikt też się nie waży pytać go o żonę, o jej zdrowie i powodzenie, można pytać o wielbłąda, o konia, o dzieci, ale pytać o żonę lub niewolnicę byłoby uważane za niegrzeczność.

Gdy Arabka dorośnie, przechodzi z haremu ojca do haremu męża, t. j. właściwie zmienia więzienie.

Wybór męża zależy od ojca lub opiekuna. Narzeczeni nieznają się wcale, wiedzą tylko o sobie za pośrednictwem swatki.

Na dni osiem przed uroczystością weselną zostaje zawarta umowa ślubna między panem młodym, a ojcem narzeczonej. „Poślubiłem cię“ — mówi młody. „Przyjmuję cię“ — odpowiada ojciec w obecności sędziego i świadków, odczytujących modlitwy. U arabów pan młody posag wypłaca. Po długich targach daje połowę sumy posagowej, drugą zaś połowę obowiązuje się wypłacić w razie rozwodu lub przed śmiercią.

Uroczystość weselna odbywa się w domu narzeczonego, a zaproszeni goście obowiązani są na dni kilka przed weselem posyłać dary: ryż, cukier, owoce, nawet barany żywe. Za to czeka ich wspaniała uczta, a jeśli pan młody jest bogaty, to rozrywki i zabawy trwają przez kilka dni.

W przededniu wesela grono krewnych i przyjaciółek prowadzi pannę młodą do kąpieli; orszak poprzedzają mężczyźni, niosący kadzielnice, pełne ziół wonnych, kubki z różaną wodą, którą skrapiają przechodniów i rozmaite znaczki dla odpędzenia czarów i złych spojrzeń. Dalej śpieszą sludzy, niosąc bogate ręczniki, złotym haftem tkane i olejki do kąpieli, muzykanci i przekupnie słodyczy którzy rozrzucają swój towar między gości i przechodniów.

W pośrodku orszaku tańczy i skacze dziwnie ubrany pajac, starając się odwrócić uwagę tłumu od panny młodej, żeby ustrzedz ją od uroków.

Pannę młodą wiodą pod ręce dwie kobiety pod baldachimem z ponsowego jedwabiu. Całą jej postać okrywa długa aż do ziemi zasłona, wyszywana blaszkami, monetami i szychem złotym.

Jeśli panna jest bogata, wtedy jedzie w powozie, przykrytym szczelnie ponsową haftowaną materją.

W kąpieli niewolnice złocą paznokcie u rąk i nóg panny młodej, albo malują je farbą czerwoną, brwi pociągają węglem, a często barwią włosy na kolor złotorudy.

Panna młoda przepędza w łazienkach długie godziny; przyjmuje tam podarunki i powinszowania krewnych i przyjaciółek, dzieląc wzamian między swych gości owoce, słodycze i przysmaki, które pan młody przysyła.

Z taką samą ceremonją odprowadza orszak pannę młodą nazajutrz do domu pana młodego. W chwili gdy panna młoda przestępuje próg domu, sludzy zarzynają przygotowanego na ten cel i ustrojonego w barwne wstążki barana, a narzeczona przeskoczyć musi przez strumień krwi świeżej i drgający jeszcze tułów. Ma to być wróżbą i zaklęciem szczęścia.

Równie jak panna młoda, tak i jej narzeczony odbywa uroczysty pochód przez miasto, a w dniu wesela wieczorem dąży do meczetu, t. j. świątyni mahometańskiej. Drużynę poprzedzają chłopcy z pochodniami smolnemi, muzykanci i śpiewacy.

Na podwórzu domu, w którym wesele się odbywa i w poprzek ulicy rozwieszają arabowie na murach różnokolorowe chusty i latarnie, których blask zwabia tłumy oraz nowych gości.

Każdemu, kto próg przestąpi, wolno należeć do zabawy, każdemu również, choćby najuboższemu nędzarzowi, podaje służba kubek kawy lub miskę ryżu.

„Zblizka i Zdaleka“.

Rozmaitości.

ROZBÓJNICY HISZPAŃSCY.
[Opowiadanie z podróży po Hiszpanji.]

Około godziny drugiej w nocy, tętent koni i turkot powozu oznajmiły nam przybycie upragnionej poczty. W oberży powstał ruch wielki, przeprzężono muły, a majoral, czyli konduktor hiszpańskiego dyliżansu, wpadł do naszego pokoju, wołając:

— Wstawać! wstawać panowie, niema chwili czasu do stracenia, wóz pocztowy za kwadrans odchodzi.

Po kilku minutach byliśmy ubrani i spakowani, a wypiwszy po filiżance gorącej czekolady, wsiedliśmy do karety pocztowej. Majoral siadł na koźle, a woźnica Pepito, młody katalończyk, pochwyciwszy muły za cugle, wyprowadził je z dziedzińca, ściągnął kilkakrotnie biczem, a następnie zająwszy miejsce koło konduktora, popędził galopem.

Pepito byłto bardzo wesoły i miły chłopczyna, usta nie zamknęły mu się na chwilę, wciąż przemawiał do mułów, to wyrzucając im lenistwo, to zachęcając do spieszniejszego biegu, to znowu przyobiecując podwójną porcję obroku, jeżeli nie spóźnią się na następną stację. Biedak, nie przeczuwał, jaki go wkrótce los spotka.

Po ujechaniu półtorej mili, chłopak ucichnął i tylko głośne chrapanie majorala, połączone z turkotem powozu przerywało milczenie. Naprzeciwko mnie siedział młodziuchny ksiądz, którego napróżno kilkakrotnie zaczepiałem. Zbywał mnie krótkiemi i zimnemi odpowiedziami, jakby dając do zrozumienia, żebym mu nie przerywał jego rozmyślań duchownych. Nie mając zatem z kim rozmawiać, oparłem się o kącik dyliżansu i zacząłem marzyć o odległych rodzinnych stronach. Powoli marzenia zamieniły się w sen, a przyjemne widziadła zajęły miejsce rozbujałych myśli.

Nagle uderzenie wozu obudziło mię. Napół śpiący, nie mogłem od razu pojąć co się stało, ale wnet dzikie i groźne głosy przywróciły mi przytomność. Spojrzawszy przez okno, poznałem przy brzasku dnia, że jesteśmy w lesie. Muły zatrzymane w szybkim biegu przez jakąś przeszkodę, rzucały się niespokojnie, parskając ze strachu. Po prawej stronie powozu, przy przedniem kole, stał wysoki drągal dzikiej postaci, w kapeluszu głęboko wciśniętym na oczy i czerwonym płaszczu, z wymierzoną strzelbą na majorala. Pepito odrazu poznawszy, co się święci, zeskoczył z kozła i chciał umknąć do lasu, lecz zaledwie parę kroków postąpił, gdy z poza krzaku ukazała się lufa wymierzonego karabina, a chłopiec musiał się rzucić twarzą na ziemię, do czego następnie i konduktora zmuszono.

— Wielu masz podróżnych w tem pudle? — zapytał bandyta.

— Dwóch w kabryolecie, a siedmiu w tylnym przedziale — wyjąkał majoral,

— Czy uzbrojeni?

— Zdaje mi się, że nie — odrzekł konduktor.

— Dawaj pieniądze! — zawołał bandyta.

Nieborak wyjął skórzany woreczek i nie podnosząc głowy, podał go rabusiowi, błagając na wszystkie świętości, ażeby mu życie darował. Jednak prośba ta, jak widać, nie zgadzała się z planem rozbójnika, gdyż kolbą karabina uderzył biedaka kilka razy tak silnie, że wnet stracił przytomność. Nielepiej wyszedł Pepito: drugi rozbójnik zadał mu kilka ran długim nożem w plecy.

Trzech bandytów po spełnieniu tego morderstwa, odbyło krótką naradę.

Jeden z nich udał się do tylnego przedziału, otworzył drzwiczki i zażądał aby wszyscy wysiedli i położyli się twarzami do ziemi. W owej przegrodzie znajdował się kupiec z Walencji i sześciu tęgich akademików, którzy z łatwością mogli rzucać się na bandytów, rozbroić ich i ująć, ale znać męztwo starożytnych kantabrów*) nie ożywiało serc tej młodzieży. Na jedno słówko bandyty, rzucili się plackiem, wcale nie myśląc o najmniejszym oporze.

Inny rozbójnik przystąpił tymczasem do drzwiczek kabryoletu, a nie mogąc ich otworzyć, krzyknął na nas ostro, żebyśmy mu pomogli. Księżyna blady ze strachu, błagał bandytę najgrzeczniejszymi wyrazami, ażeby raczył przejść na drugą stronę, gdyż te drzwi zacinają się. W chwili kiedy nas zatrzymano, spuściłem do buta kosztowny zegarek, chcąc go ukryć przed wzrokiem bandytów, ale widząc jak się obeszli z Pepitem i majoralem, wyciągnąłem go napowrót, w obawie, aby znalazłszy go w bucie, nie zemścili się za to. Wyjąłem zarazem sakiewkę z pieniędzmi i oczekiwałem tylko otwarcia drzwiczek, ażeby wszystko oddać bandycie, co tylko miałem przy sobie.

Stało się jednak inaczej. Trzeci rozbójnik, stojący na czatach, zerwał się z miejsca przyłożył ucho do ziemi a powstawszy, przemówił coś cicho do swych kamratów; natychmiast wszyscy pierzchnęli w las, zostawiając nas na gościńcu.

Zaczęło się coraz bardziej rozwidniać, pomimo jednak zniknięcia rozbójników, przez pół godziny jeszcze siedzieliśmy bez ruchu w powozie; głucha cisza zaległa dokoła, przerywana tylko słabym jękiem nieszczęśliwych ofiar. Spuściliśmy okno kabryoletu, a niedostrzegłszy nic podejrzanego, wyszliśmy z powozu. w odległości kilku kroków z tyłu po za dyliżansem, widać było jakąś czarną grupę na ziemi, byli to waleczni akademicy. Jak odchodząc zostawili ich rozbójnicy, tak też jeszcze leżeli na gościńcu. Czarne i długie, jakby sutanny suknie i trójgraniaste kapelusze, używane przez uczniów uniwersyteckich w Hiszpanji, nadawały im szczegolnie komiczne wejrzenie.

Gdyśmy się ku nim zbliżyli, poczęli szeptać, poczem jeden, a następnie po kolei i drudzy popodnosili ostrożnie głowy; nareszcie poznawszy, że nie jesteśmy zbójcami, zerwali się ze ziemi, jakby spłoszone stado kruków.

Zbliżyliśmy się ku ranionym; jeden z akademików, uczeń wydziału lekarskiego, znający się już nieco na chirurgji, opatrzył tymczasowo skrwawionego konduktora i woźnicę, którzy zaledwie słabe oznaki życia dawali. Nagle dało się słyszeć regularne stąpanie i ukazał się oddziałek złożony z trzech żołnierzy i podoficera, wychodzący z zakrętu drogi. Zaledwie jednak zasługiwali na to imię, gdyż ich mundury podarte, broń licha i zardzewiała, nadawała im raczej wejrzenie opryszków, aniżeli obrońców prawa. W nieszczęsnej i zacofanej pod każdym względem Hiszpanji, straż policyjna, czyli niby żandarmerja piesza i konna, jest tak źle utrzymywaną i prawie nigdy nie płaconą, że ludzie składający ją niemal umierają z głodu, a stąd zdarza się bardzo często, że zamiast ścigać bandytów i kontrabandzistów, łączą się z nimi, dla wspólnego dokonania rabunków i przemytnictwa.

Podoficer rozkazał opowiedzieć sobie całe zdarzenie, a potem zapytawszy się w którą stronę bandyci uszli, uszykował swój oddział i zakomenderował ognia. Dwa razy jeszcze waleczny zastęp wystrzelił w tamtym kierunku, chociaż bandyci mogli już być blisko o milę od nas. Zabawna ta farsa pobudziła mnie do głośnego śmiechu, lecz współtowarzyszom moim, postępek żołnierzy zdawał się tak naturalnym, że nie mogli pojąć, jak można się śmiać z dania oczywistego dowodu męztwa. Jeden z walecznych udał się natychmiast do najbliższego miasteczka po Alkada**).

Dwie godziny przeszło pozostawaliśmy na drodze, zanim przybył kapłan sprawiedliwości. Przez ten czas przejechało koło nas mnóstwo wozów i bryk, ale ludzie na nich jadący nie tylko nie dali nam pomocy, ale nawet wystrzegali się zatrzymać i spoglądać na nas. Dziwiła mnie ta obojętność i nieludzkość, lecz kupiec, współtowarzysz podróży, wytłomaczył mi, że według prawa hiszpańskiego, każdy napotkany przy ciężko ranionym lub zabitym, chociażby się zatrzymał w celu dania mu pomocy, powinien być natychmiast przyaresztowany i odprowadzony do najbliższego więzienia, raz, żeby wytłumaczył się, czy sam nie jest sprawcą zabójstwa, a powtóre, jeżeli sąd o tem potrafi się przekonać, musi stawać jako świadek w procesie, który czasem ciągnie się kilka miesięcy, a przez ten czas wyrzec się pracy i zarobku, bo mu na krok nie wolno wydalić się z miejsca, gdzie się sąd odbywa.

Nareszcie około szóstej przybył maleńki, gruby człowiek, a wysłuchawszy co się stało, zamiast wysłać w pogoń za zbójcami, zaczął złorzeczyć, że z przyczyny rabusiów wyspać się nie może. Sprowadzono wózek i złożywszy na nim obu ranionych, powieziono ich do miasteczka. Potem podoficer wsiadł na kozioł, a obok niego dwóch żołnierzy z karabinami gotowymi do wystrzału, i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Za przybyciem do następnej stacji, na widok eskorty powożącej, zbiegła się cała prawie ludność z kilkuset ludzi złożona, między któremi była przeszło czwarta część różnych zakonników; zapytaniom i opowiadaniom końca nie było; około każdego z podróżnych utworzyła się osobna grupa ciekawych i przytrzymano nas przeszło godzinę, jedynie dlatego, aby się dowiedzieć wszystkich szczegołów napaści bandy rozbójniczej; mianowicie też dziwili się niezmiernie, iż ja, nie mając żadnych interesów i podróżując tylko dla rozrywki, narażałem się na niebezpieczeństwo, w prowincji, w której spotykanie się z bandytami należało do najzwyczajniejszych wypadków.

Dowiedziałem się później, że biedny Pepito tego jeszcze dnia ducha wyzionął; nie tak ciężko poraniony majoral, przeżył tydzień i przed sądem zeznał, że wszyscy trzej bandyci byli mieszkańcami blizkiego miasteczka, a zarazem wymienił ich nazwiska. Natychmiast przyaresztowano winnych; lecz jeden z nich miał bardzo bogatych krewnych, którzy go zdołali uchronić od kary, drugi ratował się ucieczką, trzeci zaś uporczywie zaprzeczał udziału w napadzie, a że majoral umarł, a innych świadków znaleść nie było można, przeto i ten po kilkomiesięcznem uwięzieniu, został wypuszczonym na wolność.

*) Dziki lud góralski dawnej Hiszpanji, słynący z męztwa; od nich pochodzą mieszkańcy dzisiejszych prowincji baskijskich.

**) „Alkad“, wyraz arabski, oznaczający urzędnika sprawującego urząd sędziego, a w małych miasteczkach i burmistrza.

SZKOŁA ZBRODNIARZY.

W Kairze policja odkryła dobrze zorganizowaną szkołę zbrodniarzy, w dzielnicy, zamieszkałej przez krajowców, gdzie posiadała aż cztery filje rozwijała swoją działalność. Nauka odbywała się tylko w nocy, a kurs trwał trzy lata Wykładało 10 profesorów, a liczba uczniów dochodziła do 200. Wiek uczniów, ubiegających się o przyjęcie nie mógł przekraczać 10 lat. Przedmiotami wykładowymi były: kradzież kieszonkowa, kradzież z mieszkania, kradzież z włamaniem, a uczniowie „wyższego“ kursu uczyli się również duszenia upatrzonych ofiar lub innych sposobów morderstwa celem rabunku. Po ukończeniu szkoły uczniowie otrzymywali rodzaj dyplomu i mogli wykonywać swoje rzemiosło na własną rękę, byli jednak obowiązani oddawać pewien procent „dochodów“ dawnym swoim nauczycielom,

PORT ARTURA.

»Now. Ruś« wydrukowała korespondencję z Portu Artura, tóra daje świadectwo, czym jest ta »słynna twierdza«, która tyle pieniędzy i krwi kosztowała Rosję.

Okazuje się, że port Artura japończycy uważają za punkt błahy pod każdym względem: nie jest to obecnie ani port. ani stacja marynarki wojennej, ani też tymbardziej forteca lądowa. Ludność jest niezwykle mała a załoga nie przenosi 600 żołnierzy.

Japończycy ufortyfikowanie samej twierdzy pozostawili na stronie, a natomiast zwrócili uwagę na okolicę najbliższe.

Drobiazgi.

OPOWIADANIE MYŚLIWEGO.

Idąc sobie raz, panie, lasem wedle Maćkowego dęba, patrzę — stoi sarna i mech skubie. Przyłożyłem flintę do oka, wygarnąłem — sarna stoi. Wygarnąłem drugi raz — ani drgnie. Oszalała głupia koza, czy co — myślę sobie. Przybiłem trzeci raz! buch! Nic. Znowu buch — i znowu nic. Wystrzeliłem panie piętnaście razy, a ta głupia ani się ruszyła. A czy wiecie panowie dobrodzieje, dlaczego? Oto poprostu: głuche było bestyjstwo, jak pień!

ODWAŻNY.

— Który człowiek jest najodważniejszy?
— Łysy.
— Dlaczego?
— Bo mu nigdy włosy nie staną ze strachu na głowie.

Zawiadamiamy

szanownych klientów

że nasz oddział Towarów bławatnych

PRZENIESIONY ZOSTAŁ DO NOWEGO LOKALU

Plac Tiradentes Nr. 5

upraszamy kupujących o łaskawe ZWRACANIE SIĘ DO LOKALU TEGO

Paulo Hauer & S-ka.

Telefon 236.

Guilherme Etzel

PRAÇA DA ORDEM N. 4
Telefon Nr. 136

Poleca Szanownej publiczności kurytybskiej i okolic następują ce świeżo otrzymane towary:

Śliwki, daktyle, jabłka, gruszki, brzoskwinie, rodzynki, ananasy, winograd, sago, arrorut, krochmal pikle, marmeladę, goyabadę, gałki muszkatałowe, czekoladę, cukier waniljowy, wanilję, biały pieprz, herbatę hamburgską i t. d. i t. d.

Cement, szkło, pendzle i szczotki, oleje i farby, tran, saletra, siarka, lonty, naboje.

Przybory stołowe z aluminjum, kreolina, rtęć, pain-expeller.

NASIONA WSZELKIE.

GRAMATYKA POLSKO-PORTUGALSKA
cena z przesyłką 2$000.
Księgarnia polska — Caixa postal 122
Kurytyba.



PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD
ZŁOTNICZY
I ZEGARMISTRZOWSK
FRYDERYK KOPF

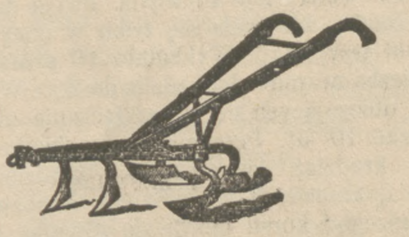
Kurytyba
ulica São Francisco Nr. 27.

Słynne zegarki amerykańskie „Keyston Elgin i szwajcarskie „Omega".
Reperacje uskutecznia szybko i dobrze

Dom handlowy

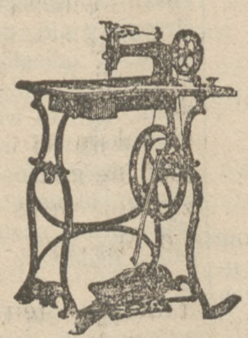
Ludwik Rose

Pługi



WSZELKIE NARZĘDZIA
Piły
Heble
Świdry
Gwoździe
Druty —
Obcęgi

SIECZKARNIE



Zamki
Okucia
Zawiasy
Śruby

PRZYWÓZ BEZPOŚREDNI



Drut kolczasty
Maszyny do szycia
Naczynia kuchenne
Szyby przycięte
Lampy

Wymiana wszelkich pieniędzy

Młynki do kukurydzy.



NAJWIĘKSZY SKŁAD
Zegarów, zegarków i wyrobów ze złota
WIKTOR GUGISCH
ul. José Bonifacio, Nr. 10
Kurytyba—Parana.

Sprowadza wprost z Europy: zegarki kieszonkowe, ścienne, stołowe, budziki, łańcuszki. Pierścienie ślubne i inne, okulary,— binokle, kompasy, termometry i t. d.

Wykonywa wszelkie reperacje tak w zegarkach jakoteż i w innych przedmiotach złotych, srebrnych i t. d.

Ceny najprzystępniejsze!

Na wszelkie reperacje, daję na rok gwarancję!

!! WAŻNE DLA SZKÓŁ !!

TABLICE ORTOGRAFICZNE

ułożone przez Bogucką, Niewiadomską i Warnkównę
zawierające trudniejsze wyrazy, rozmiaru 80x55 cm.
do nabycia
w Księgarni Polskiej
komplet (10 tablic) z przes. poczt. 3$500
„ naklejony na płótno 12$000

KSIĘGARNIA POLSKA

Curityba — Caixa postal 122.

Następujące, nadzwyczaj zajmujące książki, świeżo otrzymano w ograniczonej ilości:

(Ceny podajemy z przesyłką pocztową)

- Najpiękniejsze czarodziejskie baśnie polskie 800
- Królewicz żebrak. Opowiadanie historyczne według Twaina. Bardzo zajmujące opowiadanie o królewiczu angielskim i żebraku tak podobnym do niego, że nawet krewni się mylili 500
- Historja o karzełku z dużym nosem. Zajmująca bajka przez Wilhelma Hauffa 500
- Zbiór najpiękniejszych deklamacji miłosnych i wesołych, z dodaniem śpiewek i piosnek dla rozrywki młodzieży płci obojga 800
- Dzieci stepów. Ciekawe opowiadanie z wojen Amerykańskich przez Henryka Wilda. Przekład z angielskiego 600
- Jezioro śmierci. Opowiadanie z życia Amerykańskich podróżników według Tenimora Coopera 800
- Napad w pustyni czyli krwawe dzieje lasów indyjskich 800
- Pożar w kopalniach— nadzwyczajnie zajmująca powieść uwieńczona nagrodą 1000 dolarów na konkursie w Chicago 600
- U dzikich w niewoli, czyli odwage zwycięża. Opowiadanie na tle wojen Malajskich 600
- Wesoły deklamator. Wybór najpiękniejszych deklamacji i monologów, zebranych dla rozweselenia towarzystwa 800
- Figlarz Warszawski. Zbiór wesołych żartów i anegdot. Zebrał i wydał Dowcipniś 700
- Czarni niewolnicy, czyli przyjaciel negrów. Opowiadanie z wojen meksykańskich, według Mayne-Reyda 800
- Korsarze Chińscy, czyli Czarne flagi. Opowiadanie z życia marynarzy 800
- Ścinacze głów. Opowiadanie historyczne z wojen indyjskich 800
- Rinaldo-Rinaldini. Życie i czyny słynnego bandyty włoskiego 800
- Jak się stać miłym w towarzystwie i pożądanym dla kobiet. Obszerny zbiór przepisów towarzyskich z zastosowaniem wszelkich wesołych lub smutnych okoliczności życia, wraz z cennemi wskazówkami pozyskania miłości i powodzenia u kobiet 800
- Najnowsza wyrocznia przyszłości, wyjawiająca tajemnice życiowe, czyli sztuka dowiedzenia się o swym losie za pomocą kart lub figur symbolicznych 900
- Wielki najdoskonalszy Sennik Polski, opracowany podług najwiarogodniejszych ksiąg egipskich i perskich, zawierający 5000 snów, sposoby kładzenia kabały i t. d. 900
- Miljon snów. Nowy wielki sennik, opracowany według najwiarogodniejszych ksiąg, zawierający przepowiednie wszystkich snów z dodaniem wróżenia z kart oraz z rąk. 900
- Żyd wieczny tułacz. Słynna powieść Eugenjusza Sue. 10 tomów, cena 6$500
- Pracownicy morza. Powieść przez Wiktora Hugo — 4 tomy 3$500
- Kościół Panny Marji w Paryżu powieść przez Wiktora Hugo 5$800
- Tajemnice ręki i głowy

POWIEŚCI JULJUSZA VERNE

- 500 miljonów Begumy 2$700
- Na około księżyca
- Pięć tygodni na balonie 2$700
- Pustynia lodowa 2$700
- Gwiazda południa 2$700